

ITALO CALVINO

Rycerz Nieistniejący

Tłum. Barbara Sieroszevska

Tytuł oryginału włoskiego IL CAVALIERE INESISTENTE

1.

Na tle czerwonych murów Paryża stało w szyku wojsko Francji. Karol Wielki miał dokonać przeglądu swoich paladynów. Stali tam już od trzech przeszło godzin; było gorące popołudnie wczesnego lata, nieco parne i chmurne; rycerze prażyli się w swoich zbrojach niczym w rondlach trzymany na wolnym ogniu. Możliwe, że ten i ów w tym nieruchomym szeregu omdlał już lub się zdrzemnął; zbroja pozwalała im utrzymać w siodle sztywno wyprostowaną pozycję mimo wszystko. Nagle zabrzmiały trzy wrzaskliwe dźwięki trąb: pióropusze hełmów zachwiały się w nieruchomym powietrzu, jakby przeleciał po nich podmuch wiatru; umilkł podobny do szumu morza szmer, który do tej chwili dawał się słyszeć, a który był ni mniej, ni więcej tylko odgłosem chrapania, stłumionym przez żelazne gardziele rycerskich hełmów. I oto na koniec ujrzeli go przed sobą: Karol Wielki zbliżał się konno, rumak jego wydawał się nadnaturalnej wielkości, broda zwisała na piersi, ręce wsparte były o łęk siodła. Królował i wojował, wojował i królował, wciąż bez wytchnienia; rycerzom wydał się mocno postarzały, od czasu kiedy go ostatni raz widzieli.

Wstrzymywał konia przy każdym oficerze i każdego po kolei oglądał uważnie od stóp do głów: - Ktoście wy, paladynie Francji?

- Salomon z Bretanii, sire! - odpowiadał na cały głos zapytany, podnosząc przyłbicę i ukazując zaczerwienioną z gorąca twarz. Po czym dodawał jakąś rzeczową informację, w rodzaju: Pięć tysięcy konnych, trzy tysiące pięciuset piechurów, tysiąc ośmiuset ciurów, pięć lat wojowania.

- Zuchy Bretończycy, paladynie! - odpowiadał Karol i tok-tok, tok-tok, tok-tok, odjeżdżał, by zatrzymać się przy następnym dowódcy szwadronu.

- Ktoście wy, paladynie Francji? - pytał.

- Olivier z Vienny, sire! - skandowały wargi, zaledwie przyłbica uniosła się w górę. I zaraz: - Trzy tysiące wyborowej jazdy, siedem tysięcy piechoty, dwadzieścia machin oblężniczych. Zwycięzca poganina Fierabrasa, z łaski Boga i na chwałę Karola, króla Franków!

- To pięknie, zuch wienneńczyk - mówił Karol. I zwracając się do oficerów ze swej świty: - Chudziaki z tych koni, wydajcie więcej obroku.

Ruszał dalej.

- Ktoście wy, paladynie Francji? - pytał następnego, zawsze w tym samym rytmie: „Tattata- tatatai tata...”

- Bernard z Montpellier, sire! Zwycięzca Brunamonta i Galiferna.

- Piękne miasto Montpellier! Miasto urodziwych niewiast! - I do świty: - Zachowamy je we wdzięcznej pamięci.

Wszystko to są słowa, które, jeśli wypowiada je Król, sprawiają ludziom przyjemność; tylko że zawsze, od lat, powtarzały się bez żadnej odmiany.

- A wy kto jesteście, godło wasze jest mi znajome?

Oczywiście poznawał każdego po godle na tarczy, nie było potrzeby, żeby cokolwiek mówili, ale zwyczaj wymagał, by wymieniono imię i ukazywano twarz. Może dlatego, żeby ktoś, mający coś lepszego do roboty niż branie udziału w rewii, nie przysłał swojej zbroi z kimś innym w środku.

- Alard z Dordogne, syn diuka Amona...

- Zuch, Alard, wdał się w ojca...

I tak dalej, i tak dalej. „Tattata-tatatai, tata, tata”...

- Gwalfred z Montjoie! Osiem tysięcy jazdy nie licząc zabitych!

Koływały się pióropusze. - Ugger Duńczyk! Namo z Bawarii! Palmerin z Anglii! Zbliżał się wieczór. Twarze w głębi hełmów, pomiędzy przyłbicą a nadbrodziem, z trudem już tylko dawały się rozeznąć. Ale każde słowo, każdy gest były i tak z góry przewidziane, podobnie jak wszystko w tej wojnie ciągnącej się wiele już lat, każde starcie, każdy pojedynek odbywały się wedle wszelkich reguł, tak że zawsze wiadomo było dziś, kto jutro zwycięży, a kto będzie pokonany, kto zachowa się jak bohater, a kto jak tchórz, z czyjego brzucha przeciwnik wypruje flaki, a kto wykręci się utratą broni i upadkiem z konia. Wieczorami przy świetle łuczywa kowale zaklepywali na zbrojach wiecznie takie same pogięcia.

- A wy? - Król przystanął koło rycerza w białej jak śnieg zbroi; tylko spojenia jej obwiedzone były cieniutkim czarnym konturem. Poza tym była cała biała, doskonale utrzymana, bez najmniejszego draśnięcia, pięknie wykończona w każdym szczególe; na hełmie tkwił pęk piór z jakiejś wschodniej odmiany koguta, mieniący się wszystkimi barwami tęczy. Na tarczy widniało godło herbowe pomiędzy dwoma fałdami obszernej opończy; na samym godle wyryte były takie same fałdy opończy, tylko mniejsze, z godłem pośrodku, wyobrażającym z kolei takie same fałdy i godło, i tak dalej, i dalej; w samiućku środku musiało wreszcie coś być, tylko niepodobna było tego dostrzec, tak było maleńkie.

- A wy, rycerzu, co tak schludnie się nosicie... - rzekł Karol Wielki, który w miarę trwania wojny widział u swoich paladynów coraz mniej dbałości o porządek.

- Jestem - z wnętrza zamkniętego hełmu głos dźwięczał dziwnie metalicznie, jak gdyby to nie ludzka krtań, lecz sama zbroja drgała wywołując przyciszone echo - Agilulf Emo Bertrandin z Guildiverny i tak dalej, z Corbentraz i Sury, paladyn Selimpii i Fezu!

- Aaa - mruknął Karol Wielki i wysunawszy dolną wargę zaświstał z cicha, jakby chciał rzec: „Gdybym miał pamiętać wszystkie te tytuły, miałbym się z pyszna!” Ale zaraz zmarszczył groźnie brew: - Czemuż to nie podnosicie przyłbicy i nie ukazujecie twarzy?

Rycerz nie uczynił najmniejszego nawet gestu; tylko jego prawa ręka w żelaznej, doskonale związanej rękawicy mocniej zacisnęła się na łuku siodła, a przez drugą, trzymającą tarczę, przemknęło jakby lekkie drżenie.

- Do was mówię, hej, paladynie! - powtórzył Karol Wielki. - Jakże to być może, byście nie ukazali twarzy swemu królowi?

Głos, wydostający się spod dolnej przyłbicy, zabrzmiał teraz czysto i mocno.

- Albowiem ja nie istnieję, sire.

- A to dopiero! - Wykrzyknął cesarz. - Teraz mamy więc w wojsku jeszcze i rycerza, który nie istnieje! Pokażcie no się trochę.

Agilulf zdawał się wahać przez krótką chwilę, po czym zdecydowanym, choć powolnym ruchem uniósł przyłbicę. Hełm był pusty. Wewnątrz białej zbroi z tęczowym pióropuszem nie było nikogo.

- No, no, a to dziwy! - rzekł Karol Wielki. - I jakże to potraficie służyć, skoro was nie ma?

- Siłą woli - odparł Agilulf - i wiarą w naszą świętą sprawę!

- A jakże, a jakże, dobrze mówicie; tak się spełnia swój obowiązek. Jak na kogoś, kto nie istnieje, to zuch z was, rycerzu!

Agilulf stał w szeregu ostatni. Teraz cesarz dokonał już całego przeglądu; zawrócił koniem i oddalił się podążając ku swoim namiotom. Był stary i wolał odsuwać od siebie rzeczy zbyt skomplikowane.

Otrąbiono „rozejść się”. Konie puszczone luzem jęły tupać i wierzgać, rozległy las włóczy zafalował niby łan zboża w podmuchu wiatru. Rycerze zsiadali z koni, żeby rozruszać zdrętwiałe nogi, giermkowie brali konie za uzdy i odprowadzali. Po trochu spośród zgiewki i kurzu wyłaniali się pala-dyni, zbici w małe gromadki, nad którymi chwiały się różnobarwne pióropusze; odbijali sobie długie godziny przymusowego bezruchu i milczenia prześcigając się w żartach, ploteczkach i przechwałkach na temat kobiet i swoich bohaterских czynów.

Agilulf postąpił parę kroków, jakby chciał wmieszać się w jedną z tych grup, potem bez żadnego widocznego powodu przesunął się ku innej, ale nie przepchnął się do środka i nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przystawał na chwilę, niezdecydowany, za plecami tego czy innego z rycerzy, nie biorąc udziału w rozmowie, w końcu usunął się na stronę. Zmierzchało się; tęczowe pióra na szyszaku wydawały się teraz wszystkie tej samej, nieokreślonej barwy; ale biała zbroja nie przestawała wyraźnie odbijać na zielonym tle łąki. Agilulf, jak gdyby nagle poczuł się nagi, skrzyżował ręce na piersi i skulił ramiona.

Ale zaraz otrząsnął się i szybkim krokiem ruszył ku stajniom. Znalazłszy się tam, stwierdził, że konie nie zostały należycie obrządzone; skrzyczał masztalerzy, powyznaczał kary koniuchom, posprawdzał kolejność służb, porozdzielał funkcje, objaśniając kolejno i drobiazgowo każdemu, co i jak ma być wykonane, po czym kazał powtarzać otrzymane rozkazy chcąc się upewnić, że wszystko zostało zrozumiane. A ponieważ raz po raz wychodziły na jaw jakieś zaniedbania w służbie kolegów-paladynów, wzywał ich jednego po drugim odrywając od miłych, leniwych pogwarek wieczornych; przedstawiał im dyskretnie, lecz z nieugiętą ścisłością ich uchybienia i wyprawiał tego

na pikietę, owego na zwiady, jeszcze innego z patrolem, i tak dalej. Miał zawsze słuszość i paladyni nie mogli się wykręcać, nie kryli jednak swego niezadowolenia. Agilulf Emo Bertrandin z Guildiverny i tak dalej, z Cor-bentraz i Sury, paladyn Selimpii i Fezu stanowił niezaprzeczenie wzór żołnierza; ale to nie przeszkadza, że był im wszystkim nad wyraz antypatyczny.

2.

Dla wojska w polu noc wyregulowana jest ściśle i niezmiennie, jak ruch gwiazd na niebie: kolejność wart, oficerskie dyżury, patrole. Cała reszta - nieustający harmider wojacki, dzienny rozgwar, z którego w każdej chwili może wyskoczyć niby znarowiony koń coś niespodziewanego - wszystko to teraz ucichło, gdyż sen zmorzył dwu i czworonożnych obrońców chrześcijaństwa; konie stoją cicho w szeregach, czasem tylko da się słyszeć stuk kopyta albo krótkie rżenie; ludzie, uwolnieni nareszcie od hełmów i pancerzy, radzi, że znów odzyskali ludzką osobowość, odrębną i dającą się odróżnić od innych, chrapią wszyscy jak jeden mąż.

Po drugiej stronie, w obozie Niewiernych, to samo; tak samo przechadzają się tam i na powrót wartownicy, tak samo dowódca straży, kiedy ostatnie ziarenka piasku przesypią się w klepsydrze, idzie budzić ludzi na zmianę warty; tak samo też oficer dyżurny wykorzystuje nocne czuwanie i pisze list do żony. Patrole obu stron - te chrześcijańskie i te niewierne - wysuwają się na pół mili przed swoje linie, dochodzą prawie do skraju lasu, ale potem zawracają, każdy w swoją stronę, nigdy się nie spotykając; po powrocie do obozu raportują, że wszędzie panuje spokój, i kładą się spać. Gwiazdy i księżyc suną cicho i powoli nad obu wrogimi obozami. Nigdzie nie śpi się tak dobrze jak w wojsku.

Tylko Agilulf nie znał tego odprężenia, tej ulgi. Szczelnie zamknięty w swojej zbroi, w swoim namiocie, jednym z najporządniej-szych i najwygodniejszych w całym chrześcijańskim obozie, próbował leżeć spokojnie na wznak, ale myśleć nie przestawał. A nie były to leniwe, pierzchające myśli człowieka, którego ogarnia sen, lecz precyzyjne, logiczne rozumowanie. Po pewnym czasie uniósł się na łokciu: czuł potrzebę zajęcia się jakąś ręczną pracą; mógłby na przykład wyglansować miecz, który i tak błyszczał pięknie, albo nasmarować tłuszczem spojenia zbroi. Niedługo trwało, a już podniósł się, ujął włócznię i puklerz, już jego bielejąca zjawa jęła przesuwać się tu i tam poprzez obóz. Ze stożkowatych namiotów dolatywał istny koncert chrapania uspionych ludzi. Czym jest ta możliwość zamknięcia oczu, zatracenia świadomości samego siebie, pogrążenia się w pustkę sennych godzin, aby potem, w chwili przebudzenia, odnaleźć się tym samym co przedtem i nawiązać z powrotem nici swoich spraw życiowych - o tym Agilulf nie mógł mieć żadnego pojęcia; toteż zazdrość, której przedmiotem była owa zdolność spania, właściwa osobom istniejącym, była raczej niejasna, nieokreślona - zazdrość o coś, czego właściwie nie umie się dokładnie pojąć. Najbardziej uderzał go i niepokoił widok bosych nóg wystających tu i ówdzie spod płótna namiotów, z wielkim palcem sterczącym ku górze; pogrążony we śnie obóz stanowił królestwo ciał, istną wystawę starego mięsa Adamowego, cuchnącego wypitym winem i znojem żołnierskiego dnia; a u wejścia do namiotów leżały puste, rozebrane na części zbroje, które giermkowie i pacholki mieli rankiem wyczyścić i doprowadzić do porządku. Agilulf krążył nie-

spokojny, czujny, a zarazem wyniosły: widok ciała ludzi, którzy ciało posiadali, wywoływał w nim niemiłe uczucie zbliżone do zazdrości, ale nie pozbawione dumy i jakiejś lekkiej pogardy. Czymże oto byli jego koledzy, ci sławni, tyle wychwalani rycerze? Zbroje, świadectwo ich rangi i znakomitych imion, ich czynów, ich potęgi i męstwa, były tylko zewnętrzną skorupą, pustym żelastwem; ludzie chrapali wtuleni twarzą w poduszki, z otwartych ust ściekały im strużki śliny. On jeden tylko nie dawał się rozebrać na części, poćwiartować: w każdej chwili dnia czy nocy był i pozostawał Agilulfem Bertrandinem z Guildiverny i tak dalej, i tak dalej, który dnia takiego a takiego dokonał ku chwale chrześcijańskiego oręża takich a takich czynów i uzyskał w siłach zbrojnych cesarza Karola Wielkiego dowództwo takich a takich jednostek. A prócz tego właścicielem białej zbroi, najpiękniejszej w całym wojsku, nieodłącznie z sobą związanej. I najlepszym oficerem spośród tych wielu, którzy przecież tak znakomitych dokonywali czynów: po prostu najlepszym ze wszystkich oficerów. A mimo to błąkał się po nocy głęboko nieszczęśliwy. Dobiegł go głos.

- Mości oficerze, proszę wybaczyć, ale kiedy przyjdzie zmiana? Postawili mnie tu już trzy godziny temu! - Był to żołnierz stojący na warcie. Opierał się o swoją włócznię ciężko i tak jakoś, jakby miał boleści.

Agilulf nawet się nie odwrócił. - Mylisz się - rzucił przez ramię - nie jestem dowódcą straży. - I poszedł dalej.

- Przepraszam, panie oficerze. Widząc, że pan się tu kręci, myślałem...

Najmniejsze bodaj uchybienie w służbie budziło w Agilulfie nieprzewartą chęć kontrolowania wszystkiego, szukania innych jeszcze błędów i zaniedbań, bolał nad tym, że coś zostało zrobione źle, nie tak jak należy. Ale ponieważ w danej chwili nie był obowiązany do tego rodzaju inspekcji, gdyby ją podjął, byłoby to wtrącaniem się w cudze • sprawy, a nawet oznaką niedyscyplinowania. Agilulf starał się więc powstrzymać, ograniczyć swoje zainteresowania do szczegółów, którymi nazajutrz i tak wypadłoby mu się zająć, jak na przykład porządek wśród stojaków do trzymania włóczni albo dyspozycje co do przechowania siana w suchości... Ale jego biała zjawa wciąż deptała po piętach to dowódcy wart, to dyżurnemu oficerowi, to żołnierzom z patrolu, myszkującym po kantine w poszukiwaniu jakiegoś pozostałego z wieczora gąsiora wina... Za każdym razem Agilulf przeżywał moment wahania, czy ma się zachować tak jak ktoś, kto samą swoją obecnością umie narzucić poszanowanie władzy, czy też jak ktoś kto znalazłszy się tam, gdzie nie powinien się znajdować, cofa się dyskretnie i udaje, że wcale go tam nie ma. W niepewności swej zatrzymał się, zatroskany, i nie mógł się zdobyć ani na jedno, ani na drugie. Czuł tylko, że wszystkim przeszkadza i byłby chciał zrobić coś, co by mu dało okazję jakiegokolwiek kontaktu z bliźnimi - chciało mu się wykrzykiwać głośno rozkazy, kłąć i wymyślać po kaprałsku, rzucać grube żarty kompanom w oberży. Ale zamiast tego mamrotał niezrozumiale jakąś formułkę powitalną z nieśmiałością maskowaną pychą czy też z pychą łagodzoną nieśmiałością, i szedł dalej. Czasem zdawało mu się, że ktoś się do niego odzywa, i

odwracał się mówiąc: - He? - ale zaraz przekonywał się, że to nie do niego mówiono, i odchodził spieszenie, jakby uciekał. Znalazł się na krańcu obozu, w miejscu samotnym, na nagim wzniesieniu. Spokój nocy mącił jedynie miękki lot drobnych dziwaczych cieni o bezszelestnych skrzydłach, które krążyły dokoła bez żadnego określonego kierunku: nietoperze. Nawet to ich mizerne ciało, nie wiadomo, czy podobniejsze do myszy, czy do ptaka, było bądź co bądź czymś dotykającym i pewnym, czymś, co mogło uganiać w powietrzu łowiąc w otwarty pyszczek komary, podczas gdy przez niego, Agilulfa, razem z jego zbroją, na wskroś przenikały każda szparką podmuchy wiatru, komary i promienie księżyca. Bezprzedmiotowa wściekłość, która w nim od jakiegoś czasu narastała, wybuchła raptem: rycerz wy dobył miecz z pochwy, uchwycił go oburącz i jął machać nim z całej siły w powietrzu ku każdemu nadlatującemu nietoperzowi. Na próżno: nie przerywały swego lotu bez początku i końca, zaledwie lekko drgając w nagłym podmuchu poruszonego powietrza. Agilulf zadawał cios za ciosem, nie starając się już nawet trafić w nietoperze. Pchnięcia stawały się coraz regularniejsze, zgodnie z najlepszymi wzorami sztuki szermierczej. I po chwili już Agilulf, jakby zaprawiał się do jutrzejszego boju, pochłonięty był całkowicie praktycznym stosowaniem teorii zasłon, parad i fint.

Nagle zatrzymał się. Z zarośli na wzgórzu wynurzył się jakiś młody człowiek i przyglądał się Agilulfowi. Uzbrojony był tylko w miecz, pierś okrywał mu lekki pancerz.

- O, rycerzu! - wykrzyknął. - Nie chciałem wam przeszkodzić. Czy to do bitwy tak się zaprawiacie? Bo będzie przecież bitwa o pierwszym brzasku, prawda? Pozwolicie mi poćwiczyć z wami? Przybyłem do obozu wczoraj... - dodał po krótkiej chwili milczenia - to będzie moja pierwsza bitwa... A wszystko jest tak zupełnie inne, niż się spodziewałem...

Agilulf stał odwrócony ukosem, miecz trzymał przyciśnięty do piersi, ramiona skrzyżowane, cały mieścił się za swoją tarczą.

- Dyspozycje co do ewentualnego starcia zbrojnego, rozważone przez dowództwo, zostaną panom oficerom i żołnierzom zakomunikowane na godzinę przed rozpoczęciem działań - oznajmił.

Młodzieniec zmieszał się, jakby nagle powstrzymany w zapędzie, ale po chwili, jękając się lekko, podjął równie gorąco:

- Bo właśnie ja... właśnie przybyłem tutaj... żeby pomścić mojego ojca... i byłbym bardzo wdzięczny, gdyby ktoś z was, starszych, powiedział mi, jak to mam zrobić, żeby znaleźć się w bitwie twarzą w twarz z tym psem pogańskim, argalifem Issoarem, tak, właśnie z nim, i wbić mu włócznię między żebra, tak jak on uczynił mojemu bohaterowskiemu rodzicowi, którego niech Bóg zachowa na zawsze w chwale, świętej pamięci margrabiemu Gerardowi z Russilionu!

- To bardzo proste, mój chłopcze - rzekł Agilulf i nawet w jego głosie dało się odczuć coś jak gdyby zapał, zapał kogoś, kto znając na wyrywki wszelkie regulaminy i proce-

dury, rad jest zademonstrować własną kompetencję, a może i pogłębić cudzą ignorancję - musisz wnieść prośbę do Głównego Urzędu do Spraw Pojedynków, Pomst i Plam na Honorze, przytaczając motywy swojej prośby, a rzecz zostanie rozpatrzona w tym sensie, aby umożliwić ci uzyskanie odpowiedniego zadośćuczynienia.

Młodzieniec, który spodziewał się co najmniej odruchu podziwu i szacunku na dźwięk ojcowskiego imienia, poczuł się dotknięty najpierw tonem, a potem i sensem tej przemowy. Spróbował zastanowić się nad słowami rycerza, ale tylko po to, by im w duszy zaprzeczyć i nie dać przygasnąć swemu zapałowi. - Ależ, rycerzu - rzekł - zechciejcie mnie zrozumieć: nie o żadne urzędy mi chodzi, tylko się zastanawiam... bo choć w bitwie na pewno nie zbraknie mi odwagi, a zaciekłości starczyłoby mi na wyprucie flaków nie jednemu, ale stu niewiernym, co zaś do sprawności we władaniu bronią, to ta na pewno mnie nie zawiedzie, bom dobrze wyćwiczony, możecie mi wierzyć, tylko jeśli, powiadam, w zgiełku bitwy, nim się zorientuję, czy ja wiem... jeżeli, jednym słowem, ten pies mi umknie, to chciałbym wiedzieć, jak wy, rycerz doświadczony w bojach, w takich wypadkach byście postąpili, kiedy w grę wchodzi wasza własna sprawa, najważniejsza dla was i tylko dla was...

Agilulf przerwał mu sucho:

- Trzymam się ściśle dyspozycji. Ty też tak rób, a nie popełnisz błędu.

- Wybaczcie mi - powiedział chłopiec nie ruszając się z miejsca - nie chciałem być natrętny. Ale tak bym pragnął poćwiczyć trochę mieczem z wami, prawdziwym paladynem! Bo, wiecie, ja bronią dobrze władam, ale czasami, z samego rana, mięśnie są jakby zeszywniałe, zimne, nie działają jak należy. Wam też się to zdarza?

- Mnie nie - odparł Agilulf krótko i odwróciwszy się ruszył przed siebie.

Młodzieniec zawrócił do obozu. Była właśnie niezdecydowana pora poprzedzająca świt. Pośród namiotów wszczynął się poranny ruch. Oficerowie ze sztabu jeszcze przed pobudką byli na nogach. Przy namiotach dowódców zapalały się pochodnie, światło ich klóciło się ze słabym brzaskiem płynącym z nieba. Czy ten rozpoczynający się dzień miał być naprawdę dniem bitwy, jak o tym chodziły słuchy? Nowo przybyły czuł wielkie podniecenie, ale jakże odmienne od tego, którego się spodziewał, i tego, które go tam przywiodło; zapragnął poczuć znów ziemię pod nogami, bo nagle doznał wrażenia, że wszystko, czego się tknie, wydaje pusty dźwięk. Spotykał po drodze paladynów, zakutych już w swoje błyszczące zbroje, w kulistych, powiewających piórami szyszakach, z twarzami ukrytymi pod przyłbicą. Chłopiec oglądał się za nimi i brała go ochota, by naśladować ich postawę, wspaniałą wyniosłość ruchów; patrzył z podziwem, jak obracali się w biodrach, jak gdyby pancerz, szyszak i naramienniki wykute były z jednej bryły. Był oto pośród tych niezwykłych paladynów, gotów współzawodniczyć z nimi w boju, z bronią w rękę, i stać się takim jak oni! Ale dwaj, za którymi szedł pełen podziwu, zamiast siadać na koń, usadowili się za stołem zarzuconym papierami: musieli to być dwaj wielcy wodzowie. Młody człowiek pośpieszył się im przedstawić:

- Jestem kawaler Rambald z Russilionu, syn świętej pamięci margrabiego Gerarda! Przybyłem zaciągnąć się, by pomścić mego ojca, który poległ bohatersko pod murami Sewilli!

Tamci dwaj podnieśli ręce do zdobnych w pióropusze hełmów, ściągnęli je odczepiwszy nabrodzia od naszyjników i położyli na stół. I oto spod hełmów wyjrzały dwie żółtawe, łyse czaszki, dwie twarze o zwiotczącej, workowatej skórze, dwie pary siwych wąsów: jednym słowem twarze starych urzędników-gryzipiórków.

- Russilion, Russilion - zamamrotali szeleszcząc papierami i sunąc po nich poślinionym palcem. - Przecież wciągnęliśmy cię do spisów już wczoraj! Czego jeszcze chcesz? Czemu nie jesteś przy swoim oddziale?

- Ach, nic, sam nie wiem, w nocy nie mogłem zasnąć, myślałem o bitwie, bo ja muszę pomścić mego ojca, rozumiecie, muszę zabić argalifa Isoara, i dlatego... Otóż to: Główny Urząd do Spraw Pojedyneków, Pomst i Plam na Honorze, gdzie to jest?

- Patrzcie go, ledwie przyszedł, a czego to mu się zachciewa! A skąd ty w ogóle wiesz o Głównym Urzędzie?

- Powiedział mi jeden rycerz, nie wiem, jak się nazywa, ten w białej zbroi...

- Ufff! Tego jeszcze brakowało! Wszędzie musi wetknąć ten swój nos, którego nie ma!

- Jak to? Nie ma nosa?

- Zważywszy, że jego na pewno nic nie swędzi - odezwał się drugi z siedzących za stołem - nie ma nic lepszego do roboty niż drapać tam, gdzie swędzi innych.

- A jego dlaczego nic nie swędzi?

- A co go ma swędzić, skoro nic nie ma? To jest rycerz, którego w ogóle nie ma...

- Jak to nie ma? Przecież go widziałem! Był!

- Coś widział? Żelastwo... To jest taki 24

jeden, co jest, choć go nie ma, rozumiesz, żółtodziobie?

Nigdy w życiu młody Rambald nie wyobrażał sobie, że pozory mogą być tak zwodnicze: od chwili przybycia do obozu wszystko okazywało się czymś innym, niż się wydawało...

- A więc w wojsku Karola Wielkiego można być znamienitym rycerzem, nosić przeróżne tytuły, być mężnym w boju i gorliwym oficerem, wcale nie istniejąc?

- Powoli! Nikt nie powiedział: w wojsku Karola Wielkiego można... i tak dalej. Powiedzieliśmy tylko: w naszym pułku jest rycerz taki a taki. To wszystko. Co może lub nie może być w sensie ogólnym, nic nas nie obchodzi. Zrozumiałeś?

Rambald udał się do namiotu Głównego Urzędu do Spraw Pojedyneków, Pomst i Plam na Honorze. Teraz już nie dawał się zwodzić pancierzom i hełmom z piórami: wiedział, że tam, za stołami, zbroje kryją w sobie zakurzonych, zasuszonych człowieczków. A i tak jeszcze dobrze, jeśli w ogóle ktoś tam jest w środku!

- A zatem chcesz pomścić swego ojca, margrabiego Russilionu, w randze generała! Popatrzmyż: dla pomszczenia generała najprostsze proceduralnie jest zlikwidowanie trzech majorów. Możemy przydzielić ci trzech łatwych i będziesz w porządku.

- Chyba nie dość dobrze wyjaśniłem, o co mi chodzi: muszę zabić Issoara, argalifa. Jego we własnej osobie, gdyż on to zabił mojego szlachetnego ojca!

- Tak, tak, rozumiemy, ale zabić argalifa to wcale nie jest takie proste... Zgadzasz się na czterech kapitanów? Możemy ci zagwarantować czterech niewiernych kapitanów w ciągu ranka. Zrozum, czterech kapitanów liczy się za generała broni, a twój ojciec był generałem brygady zaledwie.

- Znajdę Issoara i wypruję mu flaki! Jego, tylko jego!

- Pójdiesz do paki zamiast do bitwy, wiedz o tym! Pomyśl lepiej trochę, zanim się odezwiesz. Jeżeli z Issoarem robimy ci trudności, to są po temu przyczyny... Przypuśćmy, na przykład, że nasz cesarz prowadzi z Issoarem jakieś układy...

Ale właśnie jeden z urzędników, który do tej chwili siedział zagłębiony w papierach, podniósł nagle głowę uradowany:

Wszystko załatwione! Wszystko w porządku! Nic już nie trzeba robić! Nie trzeba żadnej pomsty! Onegdaj Olivier myśląc, że jego dwaj wujowie polegli, pomścił ich jak należy. A oni, okazało się, leżeli pijani pod stołem! Mieliśmy więc dwie nadliczbowe pomsty za wuja, taki kłopot. A teraz wszystko się wyrówna: pomsta jednego wuja liczy się za pół pomsty ojca. No i mamy pomstę za ojca już dokonaną in blanco.

- Ależ, mój ojciec!... - gorączkował się Rambald.

- Co ty? Jeszcze niezadowolony?

Odrąbiono pobudkę. O pierwszym brzasku dnia obóz roił się już zbrojnymi ludźmi. Rambald chciał wmieszać się w ten tłum, z wolna przybierający formę oddziałów w bojowym szyku, ale odpychało go wrażenie, że cały ten szczepek żelastwa jest chrobotem suchych, pustych skorupki. Wielu wojów tkwiło od góry do pasa w szczelnie zamkniętych pancerzach i szyszakach, ale niżej sterczały nogi w płudrach tylko i pończochach, gdyż pancerze na uda, kolana i stopy nakładało się dopiero siedząc na siodle. Nogi te w zestawieniu z potężnym stalowym torsem wydawały się dziwnie cienkie, jak nóżki koników polnych. Rycerze mówiąc poruszali okrągłymi pozbawionymi oczu głowami lub zginali uwięzione w sztywnych blachach ramiona, i ruchy te miały w sobie także coś ze świerszcza czy mrówki; a cała ta ich krzątanina przypominała bezładne poruszanie się owadów. Wśród tego zamętu Rambald szukał oczyma jednej jedynej rzeczy: białej zbroi Agilulfa. Pragnął go spotkać w nadziei, że jego widok sprawi, iż reszta wojska wyda mu się bardziej konkretna, a może i dlatego, że spośród tych, których spotkał do tej chwili, rycerz nieistniejący stanowił najsolidniejsze oparcie. Dostrzegł go nareszcie. Siedząc na ziemi pod sosną Agilulf zgarniał drobne opadłe szyszki i układał je w regularny trójkąt równoramienny. O tej porze, o brzasku, rycerz czuł zawsze potrzebę jakiegoś zajęcia ćwiczącego w dokładności: liczył przedmioty, układał z nich geometryczne figury, rozwiązywał zadania arytmetyczne. Jest to pora, kiedy przedmioty tracą konsystencję cienia, jaką darzyła je noc, i odzyskują po trochu właściwe sobie barwy; ale najpierw przechodzą jeszcze przez coś niby strefę pośrednią,

niejasną, zaledwie muśniętą czy raczej otoczoną dokoła światłem: o tej porze mniej niż kiedykolwiek ma się pewność istnienia świata. Agilulf zaś lubił czuć przed sobą świat zewnętrzny w postaci masywnego muru, któremu mógł przeciwstawić napięcie swojej woli; tylko w ten sposób udawało mu się zachować świadomość samego siebie. Kiedy natomiast świat zewnętrzny rozwiewał się w niepewności, w dwuznaczności, on także czuł, że roztapia się w tym miękkim półmroku, nie mógł wyłowić z pustki ani jednej wyraźnej myśli, żadnej decyzji, najmniejszego punktu zaczepienia. Czuł się źle, zdawało mu się, że omdlewa, że przestaje istnieć. Bywało, że tylko kosztem ostatecznego wysiłku udało mu się uchronić od rozpląnięcia. W takich chwilach zaczynał liczyć wszystko jedno co: liście, kamienie, lance, szyszki, cokolwiek miał akurat pod ręką. Albo układać z nich szeregi, kwadraty czy piramidy. Skupienie uwagi na tego rodzaju zajęciach pomagało mu przezwyciężyć złe samopoczucie, otrząsnąć się z niezadowolenia, niepokoju i marazmu, odzyskać zwykłą jasność myśli i pełne godności zachowanie. W takim właśnie momencie ujrzał go Rambald, jak zdecydowanymi szybkimi ruchami układał szyszki w trójkąt, potem dobudowywał kwadraty do boków trójkąta i sumował ilość szyszek w przyprostokątnych, porównując wyniki z kwadratem przeciwprostokątnej. Rambald zaczynał już rozumieć, że tutaj wszystko polega na rytuałach, umownych formułkach. A pod nimi, co właściwie tkwiło pod nimi? I Rambalda ogarnęło nagle nieopisane przerażenie na myśl, że tylko on jeden jest poza nawiasem, że wszystkie reguły tej gry są mu obce... Chociaż czy owa chęć pomszczenia śmierci ojca, ów zapal bojowy, (postanowienie zaciągnięcia się w szeregi rycerzy Karola Wielkiego, czyż to wszystko nie było również rytuałem, potrzebnym na to, by niczego nie zgłębiać, tak samo jak układanie szyszek przez rycerza Agilulfa? Zgnębiony i zmieszany swymi nieoczekiwanymi wątpliwościami, młody Rambald rzucił się na ziemię i wybuchnął płaczem.

Nagle poczuł, że coś kładzie mu się na włosach - dłoń, dłoń zakuta w żelazo, a jednak lekka. Agilulf pochylał się nad nim, przyklękawszy.

- Co ci jest, chłopcze? Czemu płaczesz? Stany niepewności, rozpacz lub gniewu u innych ludzkich istot napełniały zawsze Agilulfa doskonałym wręcz spokojem i pewnością siebie. Świadomość, że on wolny jest od tych nastrojów, jakim podlegają osoby istniejące, pozwalała mu przybierać postawę pełną wyższości i opiekuńczości.

- Wybaczcie mi - rzekł Rambald. - Może to wina zmęczenia. Przez całą noc nie mogłem zmrużyć oka i teraz czuję się jakby zagubiony. Gdybym zdołał zasnąć choć na chwilę! Ale teraz już przecież dzień. A wy, rycerzu, coście przecież także czuwali, jak sobie radzicie?

- Och, ja czułbym się zagubiony, właśnie gdybym zasnął bodaj na chwilę - powiedział Agilulf cicho. - Nigdy bym już nie odnalazł samego siebie, przepadłbym na zawsze. Dlatego każdą chwilę dnia i nocy spędzam czujny i rozbudzony.

- Ciężko to musi być...

- Nie. - Głos brzmiał mocno i sucho.

- I zbroi nigdy nie zdejmujecie z grzbietu? Głos Agilulfa stał się znowu cichy i mrukliwy:

- Nie ma żadnego grzbietu. Zdejmowanie czy wkładanie - to dla mnie w ogóle nie istnieje.

Rambald podniósł głowę i wpatrzył się w szpary między częściami hełmu, jak gdyby w panującym tam mroku szukał iskry spojrzenia.

- Jakże to tak?

- A inaczej jak?

Żelazna dłoń białej zbroi wciąż jeszcze spoczywała na włosach młodzieńca. Rambald czuł ją na swojej głowie niby martwy przedmiot, nie dawała mu ani trochę ciepła ludzkiej obecności, czy to pocieszającej, czy dokuczliwej. Czuł tylko, że budzi się w nim zacięty upór.

3.

Karol Wielki jechał powolnym truchtem na czele wojsk Franków. Marsz miał na celu przybliżenie się do nieprzyjaciela, nie było po co się śpieszyć, toteż się nie śpieszono. Cesarza otaczali pala-dyni, mocno trzymając wędzidła swoich ognistych wierzchowców. Konie wierzgały, stawały dęba, jeźdźcy potracali się łokciami, ich srebrzyste zbroje wznosiły się i opadały na kształt skrzeli rybich. Armia w marszu podobna była do długiej, wąskiej ryby lśniącej łuską: do węgorza.

Chłopi, pasterze, ludność małych osad gromadzili się na skraju dróg. - O, to ten ci jest król, to jest Karol! - I kłaniali się nisko, rozpoznając władcę nie tyle po obcej im koronie, ile po wspaniałej brodzie. A potem wspinali się na palce, próbując rozpoznawać wojów: - Ten tu to Roland! Ależ nie, to Olivier! Nie zawsze odgadywali trafnie, ale ostatecznie wychodziło to na jedno - czy ten był tym, czy ów owym, w każdym razie wszyscy tam byli, więc o każdym można było przysiąc, że się go na własne oczy widziało.

Agilulf jechał z innymi, ale raz po raz wysuwał się trochę naprzód, po czym wstrzymywał konia i czekał, aż nadciągnie reszta, to znów zawracał do tyłu, by skontrolować, czy wojsko posuwa się zwartą masą, albo odwracał się w stronę słońca, wnioskując z jego wzniesienia nad widnokreśm, która też może być godzina. Niecierpliwił się. On jeden w całej armii miał w głowie cały plan marszu, kolejne etapy, miejsce, do którego powinni dotrzeć przed nocą. Inni paladyni wiedzieli tylko tyle, że to marsz przybliżeniowy, a czy się posuwać prędzej, czy wolniej, zawszeć się jakoś przybliżą; toteż, pod pozorem, że król jest stary i znużony, przy każdej przydrożnej karczmie skłonni byli zatrzymać się i popić. Nic innego nie dostrzegali po drodze, tylko szyldy oberży i kuperki służebnych dziewcząt, którym rzucali jakieś nieprzystojne żarty. Poza tym jednym nie widzieli nic, jechali ciemni jak tabaka w rogu.

Sam Karol Wielki objawiał czasem trochę zainteresowania tym, co się dokoła widziało. - O, kaczkki, kaczkki! - - wykrzykiwał.

Łąką wzdłuż traktu wędrowało ich całe stadko. Szedł z nimi i człowiek, ale trudno było zrozumieć, co on, u diabła, robi? Szedł skulony, z rękami założonymi na grzbiecie, unosząc stopy płasko jak ptaki pletwonogie, szyję wyciągał do przodu i bełkotał: - Kwa, kwa, kwa... - Kaczki nie zwracały na niego najmniejszej uwagi, jak gdyby uznały go za swego. I, szczerze mówiąc, nie dostrzegało się wielkiej różnicy między człowiekiem a kaczkami, jako że odzienie człowieka, brunatno ziemistej barwy (wyglądały te łachmany jak pozszywane ze starych worków), miało zielone smugi na podobieństwo kaczych skrzydeł, a prócz tego pełne było łat, plam i smug w różnych kolorach, właśnie jak pstrokate upierzenie tych ptaków - Ej, ty tam, to tak się oddaje pokłon cesarzowi? - pokrzykiwali paladyni, zawsze skorzy do zaczepiek.

Człowiek nie odwrócił się nawet, za to kaczkki, spłoszone głosami, zerwały się wszystkie naraz do lotu. Człowiek przyglądał się chwilę z głową zadartą do góry, po czym rozłożył szeroko ramiona, podskoczył i pokuśtykał, trzepocząc ramionami, z których zwisały strzępy łachmanów, śmiejąc się i rzucając radosne. „kwa, kwa” w ślad za kaczkami.

Nie opodal był staw. Kaczki sfrunęły jedna za drugą na wodę i złożywszy skrzydła, lekko odpłynęły. Człowiek, znalazłszy się nad brzegiem, rzucił się na płask brzuchem do wody, rozpryskując ją dokoła, miotał się beładnie, rzucił jeszcze parę: „kwa, kwa”, które przeszły w bulgot, gdyż łyknał wody idąc na dno; wynurzył się na powierzchnię, próbował pływać,

zagłębił się znowu.

- To on tak pilnuje kaczek, hę? - pytali rycerze małej wieśniaczki, która nadeszła z długą trzcina w ręku.

- Nie, kaczek ja pilnuję, są moje, on nic do tego nie ma, to Gurdulu - odparła dziewczuszka.

- A co on robi z twoimi kaczkami?

- E, nic, czasem go coś tak chwyci, patrzy na ptaka i myśli, że to on sam...

- Jak to, myśli, że jest kaczką?

- Zdaje mu się, że te kaczki to on; wiecie, jaki jest Guirdulu: na nic nie zważa:

Ale gdzie on się teraz podział?

Paladyni podeszli na sam brzeg wody. Nigdzie nie było widać Gurdulu. Kaczki przepłynawszy na drugą stronę stawu, podjęły swoją wędrówkę po łące kołysząc się na błoniastych nóżkach. Dokoła stawu, pośród paproci rozbrzmiewał chór żab. Nagle człowiek wynurzył głowę na powierzchnię, jak gdyby sobie w tej chwili przypomniał, że trzeba odetchnąć. Rozejrzał się ogłupiały, jakby nie mógł zrozumieć, co to takiego te pierzaste paprociowe liście przeglądające się w wodzie tuż obok jego nosa. Na każdym liściu siedziało małe, zielone, gładziutkie stworzonko, patrzyło na niego i darło się z całej siły: „Gra! Gra! Gra!”

- Gra! Gra! Gra! - odpowiedział im Gurdulu, bardzo rad. Na dźwięk jego głosu wszystkie żaby jęły skakać z liści do wody, a z wody na brzeg. Gurdulu z okrzykiem: „Gra!” skoczył także, wydostał się na brzeg, ociekający wodą i oblepiony mułem od stóp do głów, przykucnął jak żaba, rzucił: „Gra!” tak gromko, że stracił równowagę i gniotąc trzciny po drodze stoczył się z powrotem do stawu.

- Czy on się nie utopi? - zagadnęli pa-ladyni jakiegoś rybaka.

- Ech, nieraz się ten Omobó zgubi, w głowie mu się pomiesza. Ale żeby się utopić, to nie... Najgorzej, jak się dostanie w sieci razem z rybami... Kiedyś mu się to przytrafiło, kiedy sam wziął się do łowienia. Zarzucił sieć do wody, widzi ryba tuż-tuż, i coś mu się pomyliło: skoczył w wodę i sam też włązi do sieci... Wiecie, jaki on jest, Omobó...

- Omobó? Czyż nie zowie się Gurdulu?

- My go nazywamy Omobó.

- Ale ta dziewczuszka...

- Ach, ona nie jest z mojej wioski, może u nich tak się on nazywa.

- A on skąd jest?

- Cóż, włóczęga...

Kawalkada mijąca sad gruszkowy. Owoce były dojrzałe. Woje nadziewali gruszki na ostrza włóczni, wsuwali je w otwór hełmu, po chwili wypluwali ogryzek. Grusze rosły rzędami, a wśród nich kogóż to ujrzano? Gurdulu-Omobó. Stał z rękami wzniesionymi w górę, powyginanymi na kształt konarów, a w rękach, w ustach, na głowie i pośród łachmanów, wszędzie miał pełno gruszek.

- Patrzcie no, teraz udaje gruszę! - mówił Karol Wielki ubawiony.

- Natrzęsę gruszek! - wykrzyknął Roland i wymierzył potężnego kopniaka.

Gurdulu upuścił wszystkie gruszki, które potoczyły się w dół po pochyłości. Widząc to Gurdulu nie mógł się powstrzymać i zaczął także turlać się po trawie niby gruszka. Turlał się i turlał, aż zniknął im z oczu.

- Wasza Cesarska Mość zechce mu wybaczyć - odezwał się stary ogrodnik. - Martinzul

czasem nie może zrozumieć, że jego miejsce nie jest wśród roślin i bezdusznych owoców, jeno wśród miłujących poddanych Waszej Cesarskiej Mości!

- A co jemu chodzi po głowie, temu głupkowi, którego zwiecie Martinzul? - zapytał dobrotliwie nasz cesarz. - Wydaje mi się, że trudno uchwycić, co przez ten jego łeb przelatuje?

- A cóż my możemy wyrozumieć, Wasza Cesarska Mość? - stary ogrodnik przemawiał ze skromną mądrością kogoś, kto niejedno widział na świecie. - Głupi to on może i nie jest tak ze wszystkim: tyle tylko, że żyje, a nie wie, że żyje.

- A to dopiero! Tu ten biedaczysko jest, ale nie wie, że jest, a tam znów mój paladyn wie, że jest, choć go wcale nie ma! Dobrana para, powiadam wam!

Cesarz zmęczony był już długim siedzeniem w siodle. Wsparłszy się na ramionach dwóch masztalerzy, sapiąc potężnie w siwą brodę i mrużąc: „Biedna Francja!” zlął z konia. A zaledwie cesarz dotknął stopą ziemi, jak na dany sygnał, całe wojsko zatrzymało się i rozłożyło na biwak. Wnet rozpalono ogniska i ustawiono kotły.

- Sprowadźcie mi tu tego Gurgur... jak mu tam? - rzekł król.

- Zależnie od tego, którędy wędruje - wyjaśniał z powagą ogrodnik - i czy za chrześcijańskim, czy za niewiernym wojskiem się wlecze, nazywają go Gurdulu, Gudi-Ussuf, Ben-Va-Ussuf, Ben-Stanbul, Pestanzul, Bertinzul, Martinbon, Omobon czy Omo zwierz, czy nawet Potwór z Doliny, czy jeszcze inaczej. Może się zdarzyć, że w jakiejś wiosce na uboczu leżącej nadadzą mu jakąś zgoła inną od wszystkich nazwę; zauważyłem też, że wszędzie jego imię zmienia się wraz z porą roku. Rzecz by można, że imiona spływają po nim i żadne się go na stałe nie uczepi. Jemu to obojętne, jak go wołają. Woła się go, a on myśli, że kozę. A znów powie kto „ser” czy „strumień”, to on odpowie: „Tu jestem”.

Dwaj paladyni, Sansonet i Dudon, taszczyli już właśnie Gurdulu, niby naładowany wór. Przy pomocy szturchańców postawili go na nogi przed obliczem Karola Wielkiego.

- Odkryj głowę, głupku! Nie widzisz, że przed królem stoisz!

Twarz Gurdulu rozpromieniła się; była to szeroka, błyszcząca od potu twarz, w której cechy Franków mieszały się z mauretańskimi: oliwkowa cera usiana była czerwonymi plamami, wodnisto-niebieskie oczy z siatką czerwonych żyłek widniały nad perkatym nosem i wielkimi ustami o grubych wargach; włosy były jasne, kędzierzawe, broda tworzyła sztywne kępkę. Gdzieniedzie w tych niechlujnych kudłach tkwiły skorupki kasztanów i źdźbła owsa.

Zaczął bić pokłony i mówić, mówić. Szlachetni rycerze, którzy do tej chwili słyszeli z jego ust wyłącznie głosy zwierzęce, zdumieni się. Gurdulu mówił bardzo szybko, połykając słowa i płacząc się. Chwilami przechodził, bez żadnej przerwy, z jednego dialektu na inny albo nawet z jednego języka na inny, bądź chrześcijański, bądź pogański. Z powodzi słów niezrozumiałych czy bezsensownych dało się wyłowić w przybliżeniu coś takiego: - Nosem biję o ziemię, padam do kolan, deklaruję się czcigodnym sługą Waszej Najpokorniejszej Mości, rozkazujcie, ja będę posłuszny! - Ujął w rękę łyżkę, którą miał uwiązana do pasa. - A kiedy Wasza Królewska Mość mówi: „Nakazuję, zarządzam i chcę” i tak, o, zrobi berłem jak ja teraz widzicie? i krzyczy tak, jak ja krzyczę: „Nakazujęęę, zarządzaaam i chcęęę!”, to wy wszystkie psy musicie mnie słuchać, bo inaczej wbiję was na pal, a ciebie pierwszego z tą twoją brodą i gębą zdziecinniałego starucha!

- Czy mam ściąć mu głowę, sire? - zapytał Roland, już dobywając miecza.

- Upraszam o łaskę dla niego, Wasza Królewska Mość - wtrącił się ogrodnik. - To jedno z jego

zwykłych pomieszań: przemawiając do króla pokręcił wszystko i nie pamięta już, czy to on jest królem, czy ten, do którego mówił.

Z dymiących kotłów zaczęła zalatywać woń zupy.

- Dajcie mu miskę stawy! - nakazał miłosiernie Karol Wielki.

Strojąc dziwaczne miny, gnąc się w ukłonach i mamrocząc niezrozumiale Gurdulii siadł opodal pod drzewem i zabrał się do jedzenia.

- A cóż on znów wyprawia?

Gurdulu postawił miskę na ziemi i pchał w nią głowę; zdawało się, że usiłuje cały wleźć do miski. Poczciwy ogrodnik podszedł i trzepnął go w ramię.

- Kiedyż ty wreszcie zrozumiesz, Martin-zul, że to ty masz zjeść zupę, a nie zupa ma zjeść ciebie! Zapomniałeś? Masz ją wlewać do gęby łyżką...

Gurdulu zaczął więc podnosić łyżkę do ust, żartoczenie i z takim rozmachem, że czasem nie trafiał do celu. W drzewie, pod którym siedział, była dziupla, właśnie na wysokości jego głowy. Gurdulu jął ciskać zupę, łyżka za łyżką, w tę dziuplę.

- Toż to nie twoja gęba, ale drzewa!

Agilulf od pierwszej chwili śledził z uwagą i lekkim niepokojem dziwaczne zachowanie tego mięsistego cielska, które zdawało się tarzać pośród rzeczy istniejących dokoła niego, rade z siebie niczym żrebak, kiedy chce poczochnąć sobie grzbiet; i widok ten przyprawiał rycerza o zawrót głowy.

- Rycerzu Agilulfie! - odezwał się Karol Wielki. - Wiecie, co wam rzekę? Daję wam tego człowieka jako giermka! He? Nie zdaje wam się to pięknym pomysłem?

Paladyni uśmiechali się ironicznie. Agilulf jednak, który traktował poważnie wszystko (a cóż dopiero wyraźny rozkaz cesarski), zwrócił się do swego nowego giermka chcąc wydać mu pierwsze polecenia; ale Gurdulu, połknąwszy zupę, zasnął w cieniu drzewa. Leżał na trawie chrapiąc otwartą gębą, a jego pierś i brzuch unosiły się i opadały z siłą kowalskiego miecha. Thusta miska potoczyła się i zatrzymała przy jednej z jego wielkich bosych stóp. Z pomiędzy zielska wynurzył się jeż znęcony zapachem, przydreptał do miski i zaczął wylizywać resztki zupy. Dotykał przy tym kolcami bosej stopy Gurdulu, a im dalej sięgał do odrobiny zupy na dnie, tym mocniej przyciskał kolce do nogi. Wreszcie włóczęga otworzył oczy i potoczył wzrokiem dokoła, nie rozumiejąc skąd się bierze 42

to bolesne kłucie, które go zbudziło. Zobaczył swoją bosą stopę sterczącą spośród trawy niby gruby liść opuncji, a obok stopy zobaczył jeża.

- Nogo - zaczął Gurdulu przemowę - nogo, hej, do ciebie mówię. Co robisz stercząc tam jak głupia? Nie widzisz, że ten zwierzak cię kłuje? O noogo! Durna nogo! Czemuż się nie usuniesz? Nie czujesz, że cię boli? Głupia nogo! Tak niewiele trzeba, wystarczy się troszkę odsunąć! Jakże można być czymś tak durnym! Noogo! Posłuchajże mnie! Popatrz, jak się dajesz kaleczyć! Odsuńże się, idiotko! Cóż ci mam rzec? Uważaj: popatrz na mnie, pokażę ci, co masz zrobić...

To mówiąc zgiął nogę w kolanie, podciągając stopę do siebie i usuwając ją dalej od jeża. - No widzisz: wcale nie trudno, pokazałem ci, jak to się robi, i zrobiłaś. Głupia nogo, czemuś tak długo dawała się kłuć?

Roztarł obolałą stopę, zerwał się podskokiem, przebiegł parę kroków, rzucił się w zarośla, wydał raz i drugi nieprzystojny odgłos i zniknął.

Agilulf ruszył za nim, żeby go zatrzymać, ale gdzież go było szukać? Otwierała się przed nim

szeroka dolina pocięta smugami pól owsa, żywopłotami krategusu i ligustru, wiatr polatywał nad nią niosąc pył kwietny i motyle, wyżej było tylko niebo usiane białymi obłokami. Gurdulu zniknął gdzieś pośród łagodnego zbocza, na którym słońce kładło ruchliwe plamy światła i cienia; mógł się znajdować w jakim bądź miejscu tego czy tamtego brzegu doliny.

Nie wiedzieć skąd doleciał przytłumiony śpiew:

De sur les ponts de Bayonne... Biała zbroja Agilulfa stojąca na krawędzi doliny skrzyżowała na piersi ramiona.

- No i jakże: kiedyż ten nowy giermek rozpocznie swoją służbę? - zagadywali go koledzy.

Machinalnie, bezbarwnym głosem Agilulf odpowiedział:

- Sławne oświadczenie władcy ma natychmiastową moc dekretu.

- De sur les ponts de Bayonne... - dal się słyszeć raz jeszcze daleki, stłumiony śpiew.

4.

W epoce, w której się ta historia toczy, sprawy tego świata były jeszcze w wielkim pomieszaniu. Nierzadko można się było natknąć na słowa, pojęcia, formy i instytucje, którym nie odpowiadały żadne rzeczy istniejące. Z drugiej zaś strony roіło się na świecie od przedmiotów, właściwości i osób, które ani nazwą, ani w żaden inny sposób nie były wyodrębnione spośród całej reszty. Była to epoka, w której wola i upór istnienia, zostawienia po sobie śladu, zetknięcia się ze wszystkim, co istnieje, nie była w pełni zużytkowana, zważywszy, że bardzo wielu nic sobie z tych rzeczy nie robiło - czy to wskutek nędzy czy niewiedzy, czy, przeciwnie, dlatego że i bez tego wszystko im się w życiu udawało - a zatem pewna ilość nie zużytej energii po prostu się marnowała, rozpraszała w próżni. Mogło się jednak wówczas zdarzyć, że ta wola i świadomość siebie, rozproszona w przestrzeni, skupiła się w jakimś jednym punkcie, utworzyła zwartą grudkę, podobnie jak niedostrzegalny pył wody kondensuje się w obłoku. Otóż taka właśnie grudka, przypadkowo czy kierowana instynktem, przylgnęła do pewnego imienia i pewnego rodu (w owym czasie zdarzały się i w tej dziedzinie wa-kanse), do pewnej wreszcie rangi w zorganizowanej sile zbrojnej, pewnego zespołu - ustalonych funkcji i reguł. A przede wszystkim - do pewnej pustej zbroi, bez której w takich jak tamte czasach nawet istniejący człowiek mógł łącno zniknąć ze świata, a cōż dopiero taki, co nie istnieje... Tak to zaczął działać i zdobywać sławę Agilulf z Guildi-verny.

Ja, która tę historię opowiadam, jestem siostrą Teodora, mniszką w zakonie San Colombano. Piszę w klasztorze wygrzebując prawdę ze starych papierzysek, z rozmów zasłyszanych w rozmównicy i z nielicznych świadectw ludzi, którzy brali w tym wszystkim udział. My, mniszki, niewiele mamy sposobności rozmawiania z żołnierzami: to więc, czego nie wiem, staram się nadrobić wyobraźnią. Inaczej jakże dałabym sobie z tym radę? A wyznać muszę, że nie wszystko w tej historii jest dla mnie jasne. Musicie zrozumieć: jesteśmy tutaj same prawie wiejskie szlachcianki, żyłyśmy najpierw w naszych zabitych deskami zamkach, a potem w klasztorach; oprócz obrzędów religijnych, nabożeństw, nowenn, robót polnych, młocki, winobrania, chłosty wymierzanej poddanym, kazirodztw, pożarów, wieszania, najazdów obcych wojsk, grabieży, gwałtów czy zarazy niceśmy w życiu nie widziały. Cōż może wiedzieć o świecie taka biedna mniszka? Z trudem więc brnę przez tę opowieść, którą podjęłam jako pokutę za grzechy. Teraz, na przykład, Bóg jeden wie, jak mam wam opisać bitwę, ja, która od wojen Bogu dzięki byłam zawsze daleko i poza tymi czterema czy pięcioma zbrojnymi starciami, które rozegrały się na równinie pod murami naszego zamku i którym my, dzieci, przyglądałyśmy się spomiędzy blanków wieży, stojąc obok kotłów wrzącej smoły (ileż nie pogrzebanych trupów gniło później na łąkach! Znajdowaliśmy je, jeszcze następnego lata, igrając na łące; roіły się od robactwa) - o bitwach, jak już wspomniałam, nie wiem nic zgoła.

Nie więcej wiedział o nich i Rambald: bo choć przez całe swoje młode życie o niczym innym nie marzył, teraz dopiero przejść miał swój chrzest bojowy. Czekał na hasło do ataku stojąc konno w szeregu, ale nie odczuwał żadnej z tego powodu przyjemności.

Za dużo rzeczy dźwigał na sobie: żelazną misiurkę z grubym kołnierzem chroniącym szyję, pancerz, hełm z wystającym ptasim dziobem, który mało co pozwalał widzieć przed sobą, opończę na zbroi, tarczę większą od siebie i włócznię, która przy każdej próbie obrotu waliła jego towarzyszy po głowach; pod sobą zaś miał konia, którego też nie było wcale widać spod żelaznych blach.

Chęć pomszczenia śmierci ojca przez przelanie krwi argalifa Isoara całkiem już Rambalda odeszła. Po przewertowaniu jakichś papierów, gdzie pozycje wszystkich oddziałów, były dokładnie oznaczone, powiedziano mu: - Kiedy zabrzmią trąby, pogalopujesz prosto przed siebie z nastawioną włócznią, aż póki na nią nie nadziejesz człowieka. Isoar walczy zawsze dokładnie w tym miejscu swoich szyków. Jeżeli nie zboczysz z drogi, natkniesz się na niego z całą pewnością. Chyba że całe wojsko nieprzyjaciela poszłoby w rozsypkę, ale to nie zdarza się nigdy tak od razu. Cóż, zawsze może nastąpić jakieś drobne odchylenie, ale jeżeli nie zadźgasz go ty, możesz być pewien, że uczyni to twój najbliższy sąsiad. - A skoro tak się rzeczy miały, Rambaldowi przestało zależeć na czymkolwiek.

Niezawodną oznaką, że bój się rozpoczął, był kaszel. Rambald zobaczył najpierw wznoszący się w oddali żółtawy tuman, zaraz też drugi taki tuman wzbil się tuż obok niego, gdyż chrześcijańskie konie także porwały się do galopu. Rambald zaczął kasłać, całe wojsko cesarskie kasłało, pozamykane w swoich zbrojach, i tak przy wtórze kaszlu i tętentu koni mknęło ku tumanowi niewiernemu, słysząc coraz bliższy kaszel Saracenów. Oba tumany zmieszały się z sobą: cała równina zaczęła rozbrzmiewać kaszlem i szczękiem broni. Zręczność w pierwszym starciu polegała nie tyle na przebiciu wroga włócznią (która łąc-no mogła pęknąć trafiwszy w tarczę, a w takim wypadku mogłeś, na domiar złego, siłą odbicia zostać rzucony twarzą o ziemię), ile na wysadzeniu go z siodła za pomocą wsunięcia włóczni między jego siedzenie a siodło w momencie skoku, kiedy unosił się w siodle. Nieraz źle się to kończyło, bo ostrze włóczni skierowane ku dołowi łatwo mogło utkwąć w jakiejś przeszkodzie albo nawet zaryć się w ziemię, tworząc rodzaj dźwigni, która wyrzucała cię z siodła niczym proca. Zderzenie pierwszych szeregów było więc jednym wielkim wylatywaniem w powietrze wojów kurczowo uczepionych własnej włóczni. A że ruszyć się w bok było bardzo trudno, zważywszy, że z włócznią w ręku nie podobna się obrócić bez szturchania w żebra zarówno towarzyszy jak wrogów, robił się natychmiast taki mętlik, że nic już nikt nie rozumiał. Wtedy to wysuwali się w galopie naprzód harcownicy z dobytymi mieczami, torując sobie drogę przez ciżbę ciosami miecza gdzie popadło.

Zaraz też pojawiali się po drugiej stronie harcownicy przeciwnika, i tarcze uderzały o tarcze. Zaczynały się starcia pojedyncze, ale że pole było już gęsto usiane bronią i trupami, poruszać się było trudno i gdzie nie dochodziło do starcia wręcz, tam obie strony

wyładowywały furie w obelgach. Tutaj decydujący był stopień i intensywność obelgi, gdyż zależnie od tego, czy była to obraza śmiertelna, łaknąca krwi, nie do zniesienia, średnia czy lekka, wymagane były rozmaitego stopnia satysfakcje - obelgi najcięższe przekazywano nawet potomności. Ważne było więc, żeby się dokładnie nawzajem rozumieć, a nie takie to proste między maurami a chrześcijanami, zważywszy jeszcze różnorodność języków w szeregach jednej i drugiej armii. Toteż w tej fazie bitwy żywy udział brali tłumacze, wojsko szybkie, lekko uzbrojone, dosiadające niedużych, zwinnych koników; chwyтали oni obelgi w locie i na poczekaniu przekładali na język adresata. 50

- Khar as-Sus!

- Robaczy pomiot!

- Mushrik! Sozo! Mozo! Escalvao! Mar-rano! Hijo de puta! Zabalkan! Merde!

Co do tych tłumaczy, istniała z obu stron milcząca umowa, że się ich nie będzie zabijało. Zresztą umykali szybko, a w tym zamęcie, gdzie niełatwo było trafić nawet ciężkiego woja na potężnym koniu, który z wielkim trudem unosił nogi, tak bardzo miał je obciążone żelastwem, cóż dopiero mówić o tych linoskoczkach. Ale cóż, wiadomo: wojna jest wojną, zdarzało się więc, że i któryś z nich zostawał na polu. Zresztą, za to, że umieli powiedzieć „skurwysyn” w kilku językach i że ostatecznie ryzykowali też trochę swoją skórę, mieli niemały udział w zyskach. Na polu bitwy ten, kto jest szybki w rękach, może dobrze się obłowić; zdąży na najlepszą chwilę, zanim sypnie się mrowie piechurów, łasych na wszystko, co zobaczą.

W zbieraniu łupów piechurzy, będąc blisko przy ziemi, niby to lepszą mają sytuację; cóż, kiedy jeźdźcy siedząc wysoko w siodłach ni stąd, ni zowąd ogłuszają ich ciężkim płazem i cały łup zagarniają dla siebie. Mówiąc „łup” mam na myśli nie tyle odzież i zbroję zdartą z poległych, bo obdzieranie trupów to praca mozolna, wymagająca szczególnej skupienia, ile zbieranie przedmiotów pogubionych. Wobec tego, że zgodnie z panującym obyczajem człowiek idzie w bój objuczony mnóstwem wszelkiego rodzaju rzeczy, zaraz przy pierwszym starciu sypie się na ziemię istny grad przedmiotów. Któż wtedy może jeszcze myśleć o walce? Prawdziwsza walka toczy się o ich zbieranie. A wieczorem w obozie odchodzi handel wymienny i za gotówkę. Wciąż są w ruchu te same przedmioty, przechodząc z jednego obozu do innego, czy z jednego pułku do innego w tym samym obozie; czymże zresztą innym jest w ogóle wojna, jeśli nie przechodzeniem z rąk do rąk dobytku coraz-bardziej sponiewieranego?

Rambaldowi poszło wszystko zgoła inaczej, niż mu zapowiadano. Rzucił się wprost przed siebie z nastawioną włócznią, podniecony nie mógł doczekać się momentu, kiedy oba wojska zetną się z sobą. No i spotkać to się spotkały, ale wszystko wydawało się tak z góry wykalkulowane, aby każdy rycerz przemknął przez odstęp między dwoma wojami nieprzyjacielskimi, nawet ich nie musnąwszy. Przez chwilę obie armie pędziły każda w swoją stronę, zwrócone ku sobie tyłem, potem zawróciły, szukały starcia z wrogiem, ale pierwszy impet poszedł już na marne. I jakże w tym chaosie dałoby się odszukać argalifa? Rambald zwarł się, tarczą w tarczę, z jakimś Saracenenem twardym jak

suszony sztokfisz. Ani jeden, ani drugi nie wydawał się skłonny ustąpić z drogi. Przepychali się tarczami, ich konie biły kopytami o ziemię.

Saracen o bladej jak wapno twarzy mówił coś.

- Tłumacz! - zawołał Rambald. - Co on mówi?

Nadbiegł truchcikiem jeden z tych próżniaków.

- Mówi, żeby mu ustąpić z drogi.

- Nie, na moją duszę!

Tłumacz powtórzył. Tamten znów odpowiedział.

- Mówi, że musi przejść, służbowo; inaczej bitwa nie rozegra się według planu...

- Przepuszczę go, jeżeli mi powie, gdzie znajdę Issoara, argalifa!

Saracen wskazał ręką pobliski pagórek, coś krzyknął.

- Tam, na tym wzniesieniu na lewo! - rzekł tłumacz. Rambald zawrócił konia i ruszył cwałem.

Argalif, spowity w zielony fałdzisty płaszcz, stał zapatrzony w dal.

- Tłumacz!

- Tu jestem.

- Powiedz mu, że jestem synem margrabiego Russilionu i chcę pomścić mego ojca.

Tłumacz powtórzył. Argalif uniósł dłoń.

- A kto to taki?

- Kto jest mój ojciec? To twoja ostatnia zniewaga! - Rambald dobył miecza. Argalif to samo. Dzielny był z niego rębacz. Źle już było z Rambaldem, kiedy wpadł, zdyszany, ów Saracen o twarzy koloru wapna, coś krzyząc.

- Wstrzymajcie się, panie! - zawołał tłumacz. - Wybaczcie, pomyliłem się: argalif Issoar jest na tamtym wzgórzu, na prawo. A ten to argalif Abdul!

- Dziękuję! Jesteście człowiekiem honoru! - rzekł Rambald, zawrócił konia, mieczem skłonił się argalifowi Abdulowi i pogalopował w stronę drugiego wzgórza.

Na oświadczenie, że Rambald jest synem margrabiego, argalif Issoar odpowiedział: - Jak?

Trzeba mu było powtórzyć to parokrotnie, wrzeszcząc prosto w ucho.

Wreszcie kiwnął głową i wznosił miecz. Rambald rzucił się na niego z impetem. Ale kiedy skrzyżowali żelaza, przyszło mu na myśl, że może ten także nie jest Issoarem i wątpliwość ta przyhamowała nieco jego zapał. Starał się uderzać jak najcelniej, ale im lepiej się starał, tym mniej był pewien tożsamości swego przeciwnika.

Niepewność ta mogła się skończyć dla niego jak najgorzej. Maur atakował coraz groźniej, kiedy tuż obok powstało nagłe zamieszanie. Jakiś mahometański oficer, walcząc w największym zgiełku, krzyknął coś głośno.

Na krzyk ten przeciwnik Rambalda uniósł tarczę, jakby prosił o przerwę, i zawołał coś w odpowiedzi.

- Co on wrzeszczy? - spytał Rambald tłumacza.

- Powiedział: tak, argalifie Issoarze, już przynoszę ci okulary.

- Ach, więc to nie on!

- Ja jestem - wyjaśnił przeciwnik - nosicielem okularów argalifa Issoara. Okulary, wynalazek wam, chrześcijanom, jeszcze nie znany, są to wypukłe szkła poprawiające wzrok. Issoar będąc krótkowidzem musi nosić okulary podczas bitwy i zawsze co najmniej jedną parę rozbije. Muszę więc prosić o chwilę przerwy w pojedynku, inaczej argalif, jako krótkowidz, popadnie w ciężkie tarapaty.

- Aa, nosiciel okularów! - ryknął Rambald i sam już nie wiedział, czy z wściekłości wypruć flaki temu, czy pędzić za prawdziwym Issoarem. Ale cóż to byłoby za męstwo, walczyć z przeciwnikiem niemal ślepy?

- Powinniście pozwolić mi tam iść, panie - ciągnął „nosiciel okularów” - albowiem w planie bitwy przewidziane jest, że Issoar pozostanie zdrow i cały, a jeżeli nie będzie widział, czeka go zguba niechybna. - I potrząsając okularami zawołał gromko: - Oto jestem, argalifie, oto okulary!

- Nie! - Rambald na to. I rąbnął mieczem w szkła, aż rozprysnęły się w drobne kawałeczki.

W tejże samej chwili, jak gdyby brzęk strzaskanych okularów stał się dla niego sygnałem, że jest zgubiony, argalif Issoar nadział się z impetem na chrześcijańską włócznię.

- Teraz - rzekł „nosiciel okularów” - jego wzrok nie potrzebuje już wzmocnienia, by patrzeć na hurysy w Raju. - Dał koniowi ostrogę i pomknął w dal.

Trupa argalifa, wysadzonego z siodła i zaczepionego stopami o strzemiona, koń przy-wlókł aż pod nogi Rambalda.

Wzruszenie, że widzi Issoara martwego na ziemi, sprzeczne myśli, jakie ten widok Oitudził w Rambaldzie, uczucie tryumfu, że r areszcie pomścił krew ojca, oraz wątpliwości, czy spowodowanie śmierci argalifa przez strzaskanie mu okularów można uważać za pomstę dokonaną wedle wszelkich reguł, wreszcie niepokojąca świadomość, że raptem przestał istnieć cel, który go tam przywiódł - wszystko to trwało krótką za-ledwie chwilę. Zaraz potem Rambald czuł już tylko dziwną lekkość, uwolniony od przytłaczającej go dotychczas troski; teraz mógł nareszcie pędzić prosto przed siebie, rozglądać się dokoła, walczyć radośnie, jakby mu skrzydła wyrosły u ramion.

Przedtem, pochłonięty całkowicie myślą, że musi zabić argalifa, nie zwracał żadnej uwagi na plan bitwy, nie zdawał sobie nawet sprawy, że jakiś w ogóle plan istnieje. Teraz na wszystko spojrział nowymi oczyma, zarówno zapał, jak groza teraz dopiero znalazły do niego dostęp. Plac boju zakwitł już zwłokami poległych. Zrzucony z koni w zbrojach, leżeli w dziwacznych pozach, tak jak przypadkowo ułożyły się pancerze, naramiennice, nakolannice i inne części uzbrojenia; gdzieniegdzie z tych stosów żelastwa sterczało wzniesione ku górze ramię lub noga. Tu i ówdzie ciężkie zbroje były na wylot przebite i przez dziury wylewały się wnętrzości, jakby w tych żelaznych skorupach zamknięte były nie całe ciała, lecz poupychane byle jak kiszki, korzystające z każdego pęknięcia, by się na zewnątrz wydostać. Ten okrutny widok przejął Rambalda

wzruszeniem. Czyżby zapomniał, że tym bezwładnym skorupom siłę i ruch nadawała żywa, gorąca krew ludzka? Tak! Wszystkim z wyjątkiem jednej. Ale może nieuchwytna natura rycerza w białej zbroi rozciągnęła się w oczach Rambalda na całe pole bitwy? Ścisnął konia ostrogami i pomknął przed siebie. Spieszno mu było zobaczyć dokoła siebie żywych ludzi, przyjaciół czy wrogów. Znalazł się w niewielkiej dolince, pustej, jeśli nie liczyć zalegających ją trupów i brzęczących nad nimi much. W walce musiała nastąpić chwilowa przerwa albo może zgiełk bitewny przeniósł się gdzieś dalej. Rambald jechał truchtem, rozglądając się bacznie dokoła. Usłyszał tętent kopyt i wnet na szczycie pagórka ujrzał rycerza na koniu. Sara-cen! Patrzy, wydaje się zaskoczony, zawraca koniem i ucieka. Rambald rzuca się za nim w pogoń. Za chwilę już i on jest na szczycie pagórka; widzi daleko na łące Saraicena, który gna co siły i znika nagle w zaroślach leszczynowych. Koń Rambalda mknie jak strzała: jakby tylko czekał okazji do takiego pędu. Młodzieniec jest rad: nareszcie czuje, że pod tą martwą skorupą koń jest koniem, mąż mężem. Saraceni skręca w prawo. Po co? Rambald pewien jest, że go i tak doścignie. Ale oto z prawej drugi Saraceni wyskakuje z zarośli i przecina mu drogę. Obaj niewierni odwracają się, nacierają na Rambalda. Ten rzuca się naprzód z wzniesionym mieczem, krzycząc: - Tchórze!

Jeden już oto jest przy nim, w hełmie czarnym i rogatym niby trzmiel. Młodzieniec odparowuje cios i uderza płazem w tarczę przeciwnika, ale koń uskakuje w bok, ten pierwszy naciera na Rambalda, który musi teraz manewrować równocześnie tarczą i mieczem, i zawracać koniem ściskając mu boki kolanami. - Tchórze! - krzyczy i wściekłość jego jest prawdziwa, prawdziwie zaciekle jest walka i naprawdę opada z sił walcząc z dwoma przeciwnikami naraz; czuje jak słabną jego kości i krew; może umrze, teraz, kiedy wie już na pewno, że świat istnieje, i tylko tego nie jest pewien, czy umrzeć będzie teraz bardziej czy mniej smutno.

Miał ich obu na karku. Cofał się. Rękojeść miecza ścisnął kurczowo w dłoni: jeśli go utraci, to koniec. W tym właśnie momencie, który zdawał się ostateczny, usłyszał tętent konia. Na ten dźwięk, jak na głos bębna, obaj napastnicy odskoczyli od Rambalda, cofali się osłaniając wzniesionymi tarczami. Odwrócił się i Rambald: zobaczył u swego boku rycerza w chrześcijańskiej zbroi, z narzuconą na pancerz błękitną jak kwiecie barwinku opończę. Pęk długich piór, tak samo błękitnych, powiewał na czubku jego szyszaka. Szybko i zręcznie manewrując lekką włócznią trzymał Saraceniów z daleka.

Stoją teraz ramię przy ramieniu, Rambald i nieznany rycerz. Tamten nie przestaje wywijać młyńców swą włócznią. Jeden z dwóch przeciwników próbuje finty, chce wytrącić mu włócznię z ręki. Ale błękitny rycerz zawiesza włócznię na haku u siodła i ujmuje w rękę miecz. Rzuca się na niewiernego; walczą. Rambald widząc, jak lekko nieznany wybawca operuje bronią, całkiem się zapomniał, gotów byłby stać tak i przyglądać się pełen podziwu. Ale to tylko krótka chwila; oto już rzuca się na drugiego wroga, z impetem zderzają się ich tarcze.

Tak walcząc nie odstępował na krok błękitnego. Ilekroć wrogowie po każdym bez-

skutecznym ataku cofali się do tyłu, nasi rycerze dokonywali błyskawicznej zamiany: każdy rzucał się na przeciwnika swego towarzysza, oszałamiając wrogów odmiennością sposobów walki. Walczyć ramię w ramię z towarzyszem to rzeź o wiele piękniejsza niż walczyć samotnie. Jego obecność dodaje odwagi i krzepi, a uczucie, że ma się przed sobą wroga, i to drugie - że ma się obok siebie przyjaciela - stapiają się w jedno, budząc zapal bojowy.

Rambald w podnieceniu wydaje raz po raz okrzyki; tamten milczy. Młodzieniec rozumie, że w walce trzeba oszczędzić oddechu; nakazuje milczeć i sobie; jednak trochę mu przykro, że ani razu nie usłyszał głosu towarzysza.

Walka staje się coraz bardziej zajadła. Oto już błękitny rycerz wysadza z siodła swego Saracena, który natychmiast umyka piechotą w krzaki. Drugi rzuca się na Rambalda, ale w starcu pęka mu miecz; bojąc się dostać w niewolę zawraca koniem i także ucieka.

- Dzięki, bracie! - mówi Rambald do swego wybawcy unosząc przyłbicę. - Ocaliłeś mi życie. Zwę się kawaler Rambald, syn margrabiego Russilionu.

Błękitny rycerz nie odpowiada: nie wyjawia swego imienia, nie ściska prawicy Rambalda, nie odsłania twarzy. Młodzieniec czerwieni się.

- Dlaczego mi nie odpowiadasz? Tamten, zamiast odpowiedzi, zawraca w miejscu i rusza galopem.

- Rycerzu, chociaż zawdzięczam ci życie, będę to uważał za śmiertelną zniewagę! - krzyczy Rambald, ale błękitny rycerz jest już daleko.

Wdzięczność dla nieznanego wybawcy, milcząca bliskość zrodzona we wspólnym boju, gniew z powodu nieoczekiwanej zniewagi, chęć odkrycia tajemnicy, zajadłość, na chwilę uszpona zwycięstwem, ale już szukająca nowego obiektu - wszystko to sprawiło, że Rambald spiął konia ostrogami, by ruszyć w pościg za błękitnym rycerzem, krzycząc: - Zapłacisz mi za ten afront, kimkolwiek jesteś!

Kłuje ostrogami, a koń się nie rusza. Szarpie uzdą - pysk opada bezwładnie w dół. Uderza podnosząc się w strzemionach - koń chwieje się niby drewniana zabawka. Zsiada więc, unosi żelazną przyłbicę wierzchowca i widzi zbiele, mgłą zasłone oczy: koń jest martwy. Pchnięcie saraceńskiego miecza, trafiwszy w szparę między częściami żelaznego pancerza, przebiło serce. Dawno już rumak zwałiby się na ziemię, gdyby sztywny pancerz, który okrywał jego boki i nogi, nie utrzymywał go w pozycji stojącej, jak wrośniętego w ziemię. Żal z powodu utraty tego dzielnego wierzchowca, co służył mu wiernie do tej chwili, a teraz trwał w bojowej pozycji nawet po śmierci, na chwilę uśmierzył wściekłość Rambalda: otoczył ramionami szyję stojącego niczym posąg konia i ucałował jego zimny już pysk. Zaraz jednak otrząsnął się, otarł łzy i pobiegł przed siebie.

Ale dokąd właściwie dążył? Miał przed sobą płataninę niewyraźnych ścieżek na porośniętym krzakami zboczu nad strumieniem i ani śladu bitwy dokoła. Zagubił się trop nieznanego rycerza. Rambald szedł przed siebie na chybił-trafił, na poły zrezygnowany, ale jeszcze mówiąc sobie: „Znajdę go, choćby mi przyszło iść na koniec świata!”

Co mu najbardziej dokuczało po tak gorącym ranku, to pragnienie. Schodząc ku kamienistemu łożysku potoku usłyszał nagle szelest: uwiązany na długim rzemieniu do pnia leszczyny, szczypał sobie spokojnie trawę koń, rycerski wierzchowiec, uwolniony od ciężaru blach, które leżały obok na łące. Bez wątplenia musiał to być koń nieznanego rycerza, a i on sam nie mógł być daleko! Rambald rzucił się między trzciny, szukając go.

Stanąwszy już nad potokiem wysunął głowę pomiędzy zarośli: rycerz był tam rzeczywiście. Głowa i tors tkwiły wciąż jeszcze w nieprzeniknionym wnętrzu pancerza i hełmu, niby skorupiak w muszli; ale części zbroi okrywające uda i nogi rycerz zdjął, złożył na trawie, i oto zbiegał do potoku od pasa w dół zupełnie nagi.

Rambald nie wierzył własnym oczom: nagość ta była nagością kobiecą. Gładki brzuch osypany złocistym puszkim, krągłe różowe pośladki, smukłe dziewczęce nogi. Owa dziewczęca połowa (ta druga, chrabąszczowa, przybrała drogą kontrastu wygląd jeszcze mniej ludzki, bardziej bezosobowy) obróciła się wkoło, poszukała dogodnego miejsca, postawiła jedną nogę na jednym, drugą na przeciwległym brzegu strumyka, ugięła nieco kolana, wsparła się na nich okutymi w żelazo dłońmi, głowę wysunęła w przód, grzbiet do tyłu i spokojnie a wyniośle zaczęła robić siusiu. Wszystko w tej kobiecie było harmonijne, miękkie, miłe. Rambald z punktu się zakochał.

Wojownicza osóbką zeszła na brzeg potoku, pochyliła się nisko nad wodą, obmyła pobieżnie, lekko drząc w zetknięciu z zimną wodą, i pobiegła z powrotem w górę lekkimi susami różowych bosych stóp. Nagle spostrzegła Rambalda śledzącego ją poprzez trzciny.

- Schweine Hund! - krzyknęła, wydobyła zza pasa sztylet i cisnęła nim w natręta; ale uczyniła to wcale nie tak, jakby przystało tak bieglej we władaniu bronią osobie, ale zapalczywym gestem rozżłoszczonej kobiety, kiedy ciska w mężczyznę talerzem, miotłą albo czymkolwiek innym, co znajdzie pod ręką.

Mimo to chybiła Rambalda ledwie o włos. Młodzieniec cofnął się zawstydzony. Ale już po chwili niczego tak nie pragnął, jak znaleźć się przy niej znowu i w jaki bądź sposób wyjawic jej swoje uczucie. Usłyszał tętent; wybiegł na łąkę; nie było tam już konia ani jej. Słońce chyliło się ku zachodowi; teraz dopiero zdał sobie sprawę, że upłynął już cały dzień.

Zmęczony, bez konia, zbyt oszołomiony tym wszystkim, co mu się zdarzyło, aby móc czuć się szczęśliwy, a zarazem zbyt szczęśliwy, żeby zrozumieć, że poprzednią swoją żądzą zamienił na inną, jeszcze bardziej palącą, wrócił do obozu.

- Wiecie, pomściłem ojca, zwyciężyłem. Issoar poległ, ja... - ale opowiadał chaotycznie, w pośpiechu, gdyż w gruncie rzeczy chciał opowiedzieć o czymś zupełnie innym - ...i biłem się z dwoma, i nadjechał jakiś rycerz na pomoc, i odkryłem później, że to nie żaden żołnierz, tylko kobieta, przepiękna; to jest twarzy nie widziałem, na zbroi miała błękitną opończę...

- Che, che, che! - rechotali współmieszkańcy namiotu, zajęci smarowaniem gojącymi maściami sińców, którymi mieli okryte piersi i ramiona. W namiocie cuchnęło okropnie

potem, jak to zawsze bywa, kiedy rycerze zdejmują z siebie zbroje po dniu bitewnego znoju. - Zachciało ci się Bradamanty, co, żółtodzióbie? Akurat ona ciebie zechce, a jakże! Bradainanta bierze sobie albo generałów, albo stajennych pacholców. Nie złapiesz jej, choćbyś jej nawet soli na ogon nasypał!

Rambald nie zdołał wykrztusić ani słowa więcej. Wyszedł z namiotu; słońce zachodziło czerwono. Jeszcze wczoraj patrząc na zachód słońca zadawał sobie pytanie: „Co ze mną będzie jutro o tej porze? Czy wyjdę z próby „zwycięsko? Czy dowiodę, że jestem prawdziwym mężczyzną? Że chodząc po tej ziemi zostawię jakiś ślad po sobie?” I oto przyszło to jutro, słońce znowu zachodziło, a owe pierwsze próby, przewyciężone, nie liczyły się już za nic, miał przed sobą nową próbę, nieoczekiwaną i trudną, i w niej tylko mógł znaleźć potwierdzenie, którego szukał. W rozterce swojej Rambald zapragnął zwierzyć się rycerzowi w białej zbroi, czuł, że tylko on jeden mógłby go zrozumieć. Ale dlaczego właściwie - Rambald sam nie umiałby na to pytanie odpowiedzieć.

5.

Pod moją celą znajduje się kuchnia klasztorna. Pisząc słyszę szcęk i brzęk miedzianych i cynowych talerzy: to siostry pomywaczki zmywają naczynia po naszym chudym posiłku. Na mnie ksieni inny nałożyła obowiązek: mam spisać całą tę historię. Ale że wszystkie prace spełniane w klasztorze mają jeden wspólny cel - zbawienie duszy - wszystkie liczą się jednakowo. Wczoraj pisałam o bitwie i szcęk naczyń w zmywalni wydawał mi się szcękem broni, stukaniem włóczni o pancerze i tarcze, odgłosem uderzeń ciężkich mieczy w hełmy. Z drugiej strony dziedzińca dolatywało jednolite postukiwanie warsztatu tkackiego siostr tkaczek, a mnie się wydawało, że to tętent kopyt galopujących koni; a co słyszały moje uszy, to oczy na pół przymknięte przemieniały w obrazy, moje milczące wargi - w słowa, a moje pióro biegło po białej karcie w ślad za nimi.

Dzisiaj - czy to dlatego, że na dworze jest goręcej, czy że woń kapusty bardziej natrętna, a może mój umysł leniwy - dość, że hałas, jaki robią pomywaczki, nie prowadzi mojej wyobraźni dalej niż do kuchen wojsk frankońskich: widzę rycerzy, jak podchodzą szeregiem do dymiących kotłów, słyszę, jak podzwamiają miski, o które bębnią łyżkami, słyszę stuk warząchwii o brzeg misek i odgłos wyskrobywania resztek strawy z dna i ścianek kotłów - ten sam widok, ta sama woń kapusty w każdym pułku po kolei, normandzkim, andegaweńskim, burgundzkim. Jeżeli potęgę armii mierzy się hałasem, jaki czynią żołnierze, to dźwięczne wojsko Franków ocenić można najkorzystniej w porze wydawania posiłku. Zgiełk rozbrzmiewa wzdłuż dolin i po równinach, aż tam gdzie miesza się z innym echem podobnym, które wydobywa się z kotłów niewiernych. Bo i wróg o tej samej porze zajęty jest pochłanianiem takiej samej nędznej zupy z kapusty. Wczorajsza bitwa była doprawdy nie tak głośna. I nie tak smrodliwa.

Cóż, nic mi innego nie pozostaje, tylko wyobrazić sobie naszych wojów skupionych dokoła kuchen. Agilulfa widzę poprzez chmurę dymu, jak pochyła się nad kotłem - nie odstrasza go ostra woń kapusty - udzielając surowych napomnień kucharzom owernijskiego pułku. A oto nadbiega młody Ram-bald.

- Rycerzu - woła zdyszany - nareszcie was spotykam! Bo ja, rozumiecie, chciałbym być pasowany na rycerza! We wczorajszej bitwie pomściłem... w zgiełku... i biłem się potem sam przeciwko dwóm... zasadzka, rozumiecie... i wtedy... jednym słowem teraz już wiem, co to walka. Chciałbym, żeby mi przypadło w bitwie miejsce najbardziej niebezpieczne... albo chciałbym wyruszyć na jakąś wyprawę, która by mnie okryła chwałą... za naszą świętą wiarę... bronić kobiet, starców, chorych, słabych... możecie mi powiedzieć...

Agilulf przez chwilę słuchał tej bezładnej mowy odwrócony plecami, chcąc w ten sposób zmanifestować swoje niezadowolenie, że mu się przeszkadza w pełnieniu

urzędowych funkcji; wreszcie zwrócił się do młodzieńca i zaczął wygłaszać przemowę dobitną i treściwą. Z widoczną przyjemnością uchwycił poruszony temat, zawładnął nim i jął go patroszyć i rozbierać na części z prawdziwym znanstwem.

- Z tego, co mi tu mówisz, młodzieńcze, zdaje się wynikać, jakobyś sądził, iż nasza kondycja rycerzy-paladynów polega li tylko na okrywaniu się chwałą, bądź w bitwie na czele wojsk, bądź w zuchwałych czynach indywidualnych, przy czym te ostatnie mieć winny na celu albo obronę naszej świętej wiary, albo służenie pomocą kobietom, starcom, chorym. Czy zrozumiałem cię właściwie?

- Tak jest.

- Otóż więc, w istocie, rzeczy przez ciebie wymienione są jak najściślej związane z naszą kondycją doborowych rycerzy, ale... - tu Agilulf zaśmiał się z cicha, a był to pierwszy śmiech, jaki Rambald usłyszał wychodzący spod białej przyłbicy, śmieszek uprzejmy i sarkastyczny zarazem - ale nie są to jedyne dziedziny naszej działalności. Jeśli sobie życzysz, mogę z łatwością wyliczyć jedną po drugiej wszelkie funkcje, jakie przypadają paladynom zwyczajnym, paladynom Pierwszej Klasy i paladynom z Głównego Sztabu...

Rambald przerwał mu:

- Wystarczy, jeśli będę szedł za wami i was wezmę sobie za wzór, rycerzu.

- A więc pragniesz doświadczenie postawić przed wiedzą teoretyczną: może być i tak. Oto, jak widzisz, pełnię, podobnie jak w każdą środę, funkcję Inspektora do dyspozycji Intendentury Armia. W tym charakterze przeprowadzam kontrolę kuchenną pułków Owernii i Poitou. Jeżeli ze mną pójdziesz, będziesz mógł zapoznać się po trochu z tą delikatną nad wyraz gałęzią naszych służb.

Rambald, który spodziewał się czegoś zgoła innego, poczuł się niemile zaskoczony. Ale nie chcąc przeczyć samemu sobie, udał, że z wielką uwagą przypatruje się wszystkim czynnościom Agilulfa i pilnie słucha poleceń wydawanych kucharzom, szafarzom i pomocnikom kuchennym. Mimo wszystko miał jeszcze nadzieję, że to tylko rytuał przygotowawczy, poprzedzający jakieś piorunujące czyny wojenne.

Agilulf przeliczał i sprawdzał skrupulatnie spisy produktów, porcje zupy, ilość misek do napełnienia, zawartość kotłów.

- Wiedz, że najtrudniejszą rzeczą w dowodzeniu wojskiem - wyjaśnił Rambaldo-wi - jest obliczenie, ile porcji zupy mieści się w kotle. W żadnym pułku rachunek się nie zgadza. Albo trochę zostaje i nie wiadomo ani co z tą resztą zrobić, ani jak ją zapisać w wykazach, albo, jeżeli zmniejszysz przydziały, okazuje się za mało i zaraz zaczyna się szemranie i niezadowolenie w szeregach. Co prawda, przy każdej kuchni żołnierskiej stoi zawsze długa kolejka obdartusów, starych bab i rozmaitych kalek, chętnie zjadających resztki. Ale to, sam rozumiesz, jest karygodny nieporządek. Chcąc zaprowadzić pewien ład, zarządziłem, aby każdy pułk przedstawiał razem z wykazem swoich efektywów również nazwiska ubogich, stale przychodzących w porach posiłków. W ten sposób wiadomo przynajmniej dokładnie, co się dzieje z każdą porcją

zupy. Więc teraz ty, aby wciągać się po trochu w obowiązki paladyna, mógłbyś zrobić obchód kuchen pułkowych, z wykazami w rękę, i skontrolować, czy wszystko jest w porządku. Potem wrócisz zdać mi dokładny raport.

Cóż miał Rambald robić? Odmówić, żądać sławy rycerskiej albo niczego? Dla takiego głupstwa narażać swoją karierę? Poszedł.

Wrócił znudzony, zdezorientowany.

- Cóż, zdaje mi się, że jakoś to idzie - powiedział Agilulfowi. - Choć okropnie to wszystko zagmatwane. A ci biedacy, co przychodzą po zupę, czy to wszystko bracia?

- Jak to, dlaczego bracia?

- No, podobni są do siebie... Właściwie zupełnie jednakowi, można by ich wszystkich pomylić. Z początku zdawało mi się, że to wciąż ten sam człowiek, przechodzący od jednej kuchni do drugiej. Ale sprawdziłem w wykazach, nazwiska były rozmaite: Boamoluz, Carotun, Boalingaccio, Bertella... pytałem podoficerów, kontrolowałem: nazwiska zawsze się zgadzały. Tylko to podobieństwo...

- Pójdę sam zobaczyć, jak to jest. Ruszyli obaj w stronę obozu Lotaryńczyków.

- Otóż i on: ten sam - i Rambald wyciągnął rękę w jakimś kierunku, jak gdyby ktoś tam był. Był rzeczywiście; ale na pierwszy rzut oka niedostrzegalny; spojrzenie przesunęło się po tym tobołku zielonych, żółtych, spłowiałych i brudnych szmat, po twarzy usianej piegami i pokrytej kudłatym zarostem, nie odróżniając nic na tle ziemi i liści.

- Ależ to Gurdulu!

- Gurdulu? Jeszcze jedno imię! Czy go znacie?

- To człowiek bez imienia i o wszystkich możliwych imionach. Dziękuję ci, kawalerze; nie dość, że odkryłeś uchybienie w naszych służbach, ale pomogłeś mi odnaleźć giermka przydzielonego mi z rozkazu cesarza i natychmiast utraconego.

Lotaryńscy kucharze, skończywszy wydawanie zupy żołnierzom, zostawili kocioł na pastwę Gurdulu.

- Masz, cała ta zupa dla ciebie!

- Cała zupa! - wykrzyknął Gurdulu; nachylił się nad kotłem tak, jakby wychylał się z okna, i łyżką jął wyskrobywać to, co w każdym kotle jest najcenniejsze, czyli gęsty osad na ściance.

- Cała zupa! - dudnił jego głos w głębi kotła, który nagle zachybotał i przewrócił się dnem do góry.

Teraz Gurdulu był więźniem wywróconego kotła. Z jego wnętrza dochodził odgłos bębnienia łyżką niby dźwięk głuchego dzwonu i głos Gurdulu mamroczący: - Cała zupa! - potem kocioł poruszył się, przewrócił na grzbiet jak żółw i Gurdulu wyjrzał znowu na świat.

Był utyłany od stóp do głów w kapuśniaku, wyplamiony, wytłuszczany i usmolony na dodatek. Zupa spływała mu po oczach, wydawał się ślepy, kroczył przed siebie wykrzykując: - Wszystko jest zupa! - Ręce wyciągnął przed siebie, jakby płynął, nic nie

widział oprócz tej zupy, która oblepiła mu oczy i całą twarz. W jednej ręce zaciskał łyżkę, zdawało się, że próbuje nią czerpać i przyciągać do siebie wszystko, co się dokoła niego znajdowało: - Wszystko jest zupa!

Rambalda widok ten zmieszał ogromnie, przyprawił niemal o zawrót głowy; ale była to nie tyle odraza, ile wątpliwość, a raczej podejrzenie, że ten człowiek, który zatacza się, oslepiły, przed jego oczyma, ma rację; że świat to nie co innego, tylko ogromny kocioł zupy nie mającej żadnego trwałego kształtu, zupy, w której wszystko się miesza i roztopia zabarwiając własnym kolorem wszystko dokoła. Omal nie krzyknął: „Nie chcę się stać zupą! Ratunku!”, ale spojrzał na stojącego obok Agilulfa, niewzruszonego, z założonymi ramionami, dalekiego i nawet nie tkniętego wulgarnością tej sceny. I poczuł, że tamten nigdy nie potrafi zrozumieć jego, Rambalda, przerażenia. Niepokój, jaki budził w nim zawsze widok rycerza w białej zbroi, równoważył się niejako z tym nowym, jakiego przysporzył mu widok Gurdulu; pozwoliło to Rambaldowi odzyskać równowagę i zachować spokój.

- Dlaczego nie wytłumaczycie mu, że nie wszystko jest zupą, i nie każecie mu skończyć z tym błżeństwem? - zwrócił się do Agilulfa starając się mówić zwykłym, normalnym głosem.

- Jedyne, co potrafi zrozumieć, to wyraźny rozkaz - rzekł Agilulf, a potem zwrócił się do Gurdulu: - Jesteś moim sługą z rozkazu Karola króla Franków, wielkiego cesarza. Masz mi być odtąd w każdej rzeczy posłuszny. A ponieważ Główny Zarząd Pogrzebów i Zbożnych Usług zlecił mi pogrzebać poległych we wczorajszej bitwie, weźmiesz łopatę i kilof i pójdziesz na pobojuwisko pogrzebać ochrzczone ciała naszych braci, których Bóg do swojej chwały powołał.

Rambaldowi również zaproponował, żeby poszedł z nim dla zapoznania się z tą drugą z kolei delikatną funkcją paladynów.

Szli więc w stronę pola bitwy wszyscy trzej: Agilulf tym swoim krokiem, któremu chciałby nadać pozór swobody, a który mimo to sprawiał zawsze wrażenie, jakby rycerz stąpał po ostrzach szpilek; Rambald rozglądający się dokoła szeroko otwartymi oczyma, żądny widoku tych miejsc, które przebiegał wczoraj pod gradem włóczni i ciosów broni siecznej; na końcu szedł Gurdulu z łopatą i kilofem na ramionach, ani trochę nie przejęty swoim wzniosłym zadaniem, pogwizdując i podśpiewując wesoło.

Są już na grzbiecie wzgórza, przed nimi otwiera się rozległa równina, na której wczoraj rozegrał się okrutny bój. Ziemia gęsto usiana jest trupem. Sępy, wbiwszy szpony w ramiona lub twarze poległych, grzebią dziobami w poharatanych brzuchach.

Zadanie sępów nie jest łatwe ani proste. Zlatują się, kiedy bój ma się ku końcowi; ale zwłoki, zalegające pola, są wtedy zam-76

knięte w stalowych pancerzach, w które dzioby drapieżników na próżno uporczywie stukają, nie mogąc ich nawet lekko zadrasnąć. Dopiero z zapadnięciem wieczoru z obu przeciwnych obozów nadciągają, skradając się cicho i czołgając, obdzieracze trupów. Sępy ulatują wówczas w górę i wisząc nieruchomo w powietrzu czekają, aż tamci

skończą swoją robotę. W brzasku poranka pole bitwy bieli się całe trupami obdartymi już do naga. Sępy zlatują wtedy na ziemię i zabierają się do wielkiej uczty. Ale muszą się spieszyć, nim przyjdą grabarze wzbraniający ptakom tego, co oddają na pastwę robactwu.

Agilulf i Rambald mieczem, Gurdulu łopatą odpędzają czarnych biesiadników i zmuszają ich do odlotu. Potem przystępują do swego ponurego zadania: każdy z trzech wybiera sobie trupa, ujmuje go za nogi i taszczy na wzgórze, w miejsce dogodnie do kopania grobów.

Agilulf ciągnie trupa i rozmyśla: „Ty, chociaż martwy, masz coś, czego ja nigdy nie miałem i mieć nie będę: tę cielesną powłokę. A właściwie nie ty ją masz, lecz sam nią jesteś, a to jest właśnie rzecz, której czasami w przystępie melancholii zazdroszczę ludziom istniejącym. Jest też czego! Powinienem zaiste uważać się za szczęśliwego, że mogę obywać się bez niej, robiąc wszystko, co robią ludzie. Wszystko - rozumie się - co mnie się wydaje ważne; i wiele rzeczy potrafię robić znacznie lepiej niż ci, co istnieją, wolny od ich pospolitych wad, ich grubiaństwa, niedbalstwa, chaotyczności, niechlujstwa. Co prawda, każdy, kto istnieje, zostawia coś po sobie, wyciska jakiś ślad, czego ja nigdy nie zdołam uczynić. Ale jeśli cały ich sekret tkwi w tym oto worku flaków - dziękuję, obejdę się. To pole, pełne nagich rozkładających się trupów, nie większą budzi we mnie odrazę niż ludzkie mięso za życia.”

Gurdulii taszczy za sobą trupa i myśli: „Cuchniesz bardziej ode mnie, trupie. Nie wiem, dlaczego wszyscy cię żałują. Czegóż ci brak? Przedtem sam się ruszałeś, teraz twój ruch przechodzi na robactwo, które sobą karmisz. Rosły ci paznokcie i włosy; teraz przemienisz się w ciecz, która pomoże ziołom łąkowym wyrastać wyżej ku słońcu. Staniesz się trawą, później mlekiem krów, które zjedzą tę trawę, krwią dziecka, które wypije to mleko, i tak dalej: czy nie widzisz, żeś dzielniejszy ode mnie i lepiej umiesz żyć, trupie?”

Rambald także ciągnie trupa i myśli: „O, ty, człowieku zabity, tyle się uganiam po świecie, a wszystko po to, by w końcu dojść do tego samego co i ty: że ktoś inny będzie mnie włókł za nogi. Czymże jest ten szal, który mnie gna, ta żądza walki i miłości, kiedy się na nie spojrzysz stamtąd, skąd patrzą twoje wytrzeszczone oczy, twoja odrzucona do tyłu głowa, objijająca się o kamienie? Zastanawiam się nad tym, o poległy, ty każesz mi się nad tym zastanawiać. Ale cóż się przez to zmienia? Nic zgoła. Nie ma innych dni aniżeli te nasze, poprzedzające mogiłę, nie ma innych - ani dla nas żywych, ani dla was martwych. Obyż mi było dane nie zmarnować ich, nic nie strwonić z tego, czym jestem i czym mógłbym być. Dokonać chwalebnych czynów na pożytek armii Franków. Uścisnąć w ramionach dumną Bradamantę i poczuć jej wzajemny uścisk. Chcę wierzyć, że i ty nie gorzej przeżyłeś swoje dni, o poległy. Dla ciebie kości zostały już rzucone. Te, które mają wyznaczyć mój los, grzechoczą jeszcze w kubku. A ja, o poległy człowieku, wolę moje pragnienia i trwogi od twego spokoju.” Gurdulu podśpiewując zabiera się do kopania grobu dla swojego trupa. Układa go na ziemi, żeby wziąć miarę, zaznacza kilo-

fem granicę, odciąga zwłoki na stronę i zaczyna gorliwie kopać.

- No co, trupie, może ci nudno tak czekać - powiada i obraca zwłoki, żeby leżały na boku, twarzą zwróconą ku grobowi, i by trup miał jego, grabarza, przed oczyma. - Ej, trupie, mógłbyś i ty trochę popracować. - Podnosi trupa, próbuje wetknąć mu kilof w rękę, ale ciało opada bezwładnie. - Nie to nie. Nie nadajesz się. Znaczy, że kopać mam ja, a ty potem wypełnisz dół.

Dół już wykopany. Ale Gurdulu pracował tak nieporządnie, że wyszło to nierówno, dno jest zaokrąglone na kształt muszli. Gurdulu chce zrobić próbę. Złazi do grobu i kładzie się. - O, jak dobrze, jak się tu wygodnie odpoczywa! Jaka dobra, miękka ziemia! Jak miło się w niej obracać! Hej, trupie, chodźże tu, zobacz, jaki piękny grób ci wykopałem!

Zastanawia się chwilę.

- No, ale skorośmy się umówili, że to ty masz wypełnić dół, lepiej, żebym tu został na spodzie, a ty będziesz sypał ziemię z góry łopata! - Czeką trochę, ale niebawem zaczyna się niecierpliwić. - No? Dalej! Pospiesz no się! O, tak! - Leżąc na dnem unosi w górę łopatę i zaczyna zagarniać ziemię. Spadają na niego całe zwały.

Agilulf i Rambald usłyszeli przyduszony okrzyk - nie wiadomo czy przerażenia, czy może zadowolenia, że jest tak doskonale pogrzebany. Ledwie zdążyli wyciągnąć Gurdulu, zupełnie zasypanego ziemią; jeszcze trochę, a byłby się na śmierć udusił.

Rycerz uznał robotę Gurdulu za nieporządną, Rambalda za niewystarczającą. On sam zaprojektował już przez ten czas cały wzorowy cmentarzyk: wyrysował na ziemi kontury prostokątnych grobów, równiutkie dwa szeregi z uliczką pośrodku.

Pod wieczór wracali przez leśną porębę, gdzie wojska Franków zaopatrywały się w pnie do machin oblężniczych i w drzewo opałowe.

- Teraz, Gurdulu, trzeba narąbać dREW.

Gurdulu zabrał się do roboty, ale machał siekierą na chybił-trafił, znosił chrust razem z zielonymi, żywymi gałęziami i z pędami kaprifolium i chrościeńca i kawałkami kory porośniętymi zielonym mchem.

Rycerz przeprowadzał tymczasem inspekcję u drwali: policzył sagi drzewa, sprawdził stan narzędzi, tłumacząc Rambaldowi, jakie są zadania paladyna w dziedzinie zaopatrzenia w drzewo opałowe. Rambald nic z tego nie słyszał; przez cały czas na usta cisnęło mu się jedno pytanie; przechadzka z Agilulfem miała się już ku końcowi, a on wciąż jeszcze na to pytanie się nie odważył.

- Rycerzu Agilulfie! - odezwał się wreszcie.

- O co chodzi? - zapytał Agilulf, uważnie oglądając jakąś siekierę.

Młodzieniec nie wiedział, od czego by tu zacząć; nie potrafił wynajdywać zręcznych pretekstów, kiedy coś tak bardzo leżało mu na sercu. Zacerwienił się i zapytał wprost:

- Znacie Bradamantę?

Na dźwięk tego imienia Gurdulu, który właśnie nadchodził przyciskając do piersi naręcze opału, podskoczył wyrzucając wysoko w górę suche patyki, kwitnące pędy

kapri-folium, miotłki jałowca i gałazki ligustru.

Agilulf trzymał w ręku doskonale wyostrzony obosieczny miecz. Zamachnął się i rąbnął w pień dębu. Ostrze przecięło drzewo na wskroś, ale pień nie upadł, nie drgnął nawet u podstawy, tak idealnie proste było cięcie.

- Co wy, rycerzu Agilulfie! - wykrzyknął Rambald przerażony. - Co się z wami dzieje?

Agilulf skrzyżował ramiona i przyglądał się swemu dziełu obchodząc pień dokoła.

- Widzisz? - powiedział - Uderzenie czyste, precyzyjne, bez najlżejszego bodaj odchylenia. Przyjrzyj się linii przecięcia, jaka jest prosta.

6.

Ta historia, którą podjęłam się opisać, jest jeszcze trudniejsza, niż mi się wydawało. Mam oto odmalować największe spośród szaleństw ludzkich, namiętność miłosną, od której śluby, mury klasztorne i wrodzona wstydlivość do tej pory mnie chroniły. Nie twierdzę, że nigdy o niej nie słyszałam; w klasztorze, po to właśnie, by ustrzec się od pokus, rozmawia się czasem o tych sprawach - w granicach naszego nader mglistego o nich pojęcia - a zdarza się to zwłaszcza, ilekroć któraś z nas, nieboraczek, przez brak doświadczenia zachodzi w ciężę albo też porwana przez jakiegoś gwałtownika, który się Boga nie boi, wraca po jakimś czasie i opowiada nam dokładnie o wszystkim, co ją spotkało. A zatem i o miłości, tak jak o wojnie, opowiem tyle, ile sobie potrafię wyobrazić: sztuka pisania wszelakich historii na tym właśnie polega, by z tej odrobiny, jaką się z życia zrozumiało, umieć wysnuć całą resztę; ale po zapisaniu karty wraca się znów do zwyczajnego życia i dopiero wówczas się spostrzega, że wiedziało się tyle, co nic.

Czy Bradamanta wiedziała więcej? Po bujnym życiu wojowniczej amazonki w duszę jej zakradło się uczucie głębokiego niedosytu. Do rycerskiego życia pchnęło ją umiłowanie wszystkiego, co surowe, bezwzględne, dokładne, zgodne z nakazami moralnymi, a w tym, co tyczy władania bronią i obchodzenia się z koniem - niezmiernie precyzyjne i bezbłędne. A tymczasem cóż oto widziała dokoła? Brudnych, spotniałych drabów, którzy wojowali byle jak, aby zbyć, a po godzinach służby wałęsali się natrętnie za nią, wypatrując, kogo też zdecyduje się wpuścić do swego namiotu na tę noc. Bo cóż, wiadomo, rycerskie rzemiosło to piękna i wzniosła rzecz, ale sami rycerze to gromada tępaków, przywykłych dokonywać wielkich czynów hurtem, jak leci, jako że niezłomne, uświęcone reguły rycerskie, raz na zawsze ustalone, uwalniają ich od fatygi samodzielnego myślenia. Wojna to trochę rzeźnia, a trochę rutyna i nie ma co czepiać się zanadto szczegółów.

Bradamanta w gruncie rzeczy nie tak wiele się od swych kolegów różniła: możliwe, że to swoje pragnienie surowości i rygoru wmówiła sobie sama, na przekór prawdziwej swej naturze. Bo, na przykład, gdyby poszukać w całym wojsku Franków najgorszego flejtucha, to byłaby właśnie ona. Pod względem nieporządku jej namiot bił na głowę wszystkie inne w obozie. Podczas gdy mężczyźni, biedaczyska, radzili sobie jak umieli z tym wszystkim, co zwykło się uważać za robotę kobiecą, jak pranie, łatanie i cerowanie odzieży, zamiatanie, usuwanie tego, co niepotrzebne, ona, wychowana jak księżniczka, nie tykała niczego, i gdyby nie te stare praczki i pomywaczki, które zawsze kręcą się po obozach - jedna w drugą same rajfurki - w jej namiocie byłoby gorzej niż w psiej budzie. Ona zresztą niewiele tam przebywała: jej dzień zaczynał się z chwilą, kiedy nałożyła zbroję i dosiadła konia; i doprawdy stawała się wtedy kimś zupełnie innym, cała błyszcząca od czubka hełmu aż po nosy stalowych kamaszy, olśniewając swoim uzbrojeniem

nowiutkim i w najlepszym gatunku, w pancerzu przybranym wstęgami błękitnymi jak kwiatki barwinku; i biada, jeżeli któraś z nich leżała nie tak jak trzeba. To pragnienie, by na polu bitwy wyglądać świetniej niż ktokolwiek inny, było nie tyle wyrazem kobiecej próżności, ile wyzwaniem, nieustannie rzucanym paladynom, chęcią okazania swej nad nimi wyższości. Od rycerza - czy to przyjaciela, czy wroga - wymagała na polu bitwy doskonałości w wyglądzie, zachowaniu i władaniu bronią, wierząc, że jest to oznaką takiejże doskonałości ducha. A ilekroć zdarzyło jej się spotkać kogoś, kto choć raz w pewnej mierze odpowiadał tym jej wymaganiom - budziła się w niej kobieta, i to kobieta o nader silnych miłosnych pragnieniach. W takich chwilach zdawała się doszczętnie zatracać swoje surowe iryckie ideały: była kochanką zarazem czułą i niepohamowaną gwałtowną. Ale jeżeli mężczyzna, porwany jej zapalem, sam też tracił nad sobą kontrolę, natychmiast się do niego zrażała i znowu zaczynała szukać kogoś, kto zaimponowałby jej prawdziwym hartem ducha. Ale kogóż to mogła znaleźć! Żaden z chrześcijańskich czy nieprzyjacielskich rycerzy nie zdobył nigdy nad nią władzy: znała słabość i głupotę ich wszystkich.

Ćwiczyła się właśnie w strzelaniu, z łuku na placu przed swoim namiotem, kiedy Rambald, który szukał jej wciąż bez wytchnienia, po raz pierwszy zobaczył ją z nie osłoniętą twarzą. Miała na sobie krótką tunikę; nagie ramiona napinały łuk; skupiona uwaga nadawała twarzy wyraz surowy i posępny. Włosy, związane na karku, opadały niżej na kształt bujnego końskiego ogona. Ale spojrzenie Rambalda nie zatrzymało się na żadnym z tych szczegółów: widział oto przed sobą kobietę, jej postać, jej barwy, i nie mógł to być nikt inny tylko ona, ta, której prawie dotychczas nie widział, a jednak rozpaczliwie jej pragnął; taka właśnie powinna być, nie inna.

Strzała śmignęła z łuku i utkwiała w słupie służącym za cel, dokładnie na linii trzech wypuszczonych poprzednio.

- Wyzywam cię do zawodów! - krzyknął Rambald biegnąc ku niej.

Tak to zawsze biegnie młodzieniec do kobiety; ale czy to naprawdę miłość, miłość do niej każe mu to czynić? Czy nie jest to nade wszystko miłość własna, potrzeba zdobycia pewności własnego istnienia, którą to pewność jedynie kobieta mu dać może? Niepewny siebie młodzieniec, szczęśliwy i zrozpaczony zarazem, zakochuje się, bo dla niego kobieta jest czymś, co na pewno istnieje, i ona tylko może go utwierdzić w przekonaniu, że on istnieje także. Ale i kobieta, ona również, jest i zarazem nie jest: oto stoi przed nim, także drżąca, także niepewna, jak to możliwe, by on tego nie dostrzegął? Cóż to rna za znaczenie, które z nich dwojga jest silne, a które słabe? Są sobie równi. Ale młodzieniec nie wie o tym, bo nie chce wiedzieć: pragnie po prostu kobiety, rzeczywistej, naprawdę istniejącej. Ona natomiast wie dużo więcej - a może mniej; w każdym razie zna rzeczy odmienne i właśnie odmiennych, nowych szuka. Z łukiem w ręku stają do zawodów; ona krzyczy na niego, postępuje go, a on nie wie, że to z jej strony zwykła gra. Dokoła unosi się las sztandarów wojsk Francji, godła pułków trzepoczą na wietrze, stojące szeregami konie chrupią nareszcie swój obrok.

Pachołkowie przygotowują strawę dla paladynów, którzy w oczekiwaniu na obiad stoją w większych i mniejszych grupkach, przyglądając się, jak to Bradamanta strzela z łuku z chłopcem w zawody. Bradamanta mówi:

- Trafiasz w cel, ale zawsze tylko przypadkiem.
- Przypadkiem? Skoro ani jedna strzała nie chybia?
- Choćbyś sto razy trafił, będzie to i tak tylko przypadek!
- Więc cóż w takim razie nie jest przypadkiem? Komuż się udaje bez przypadku?

Skrajem obozu idzie powoli Agilulf; na białej zbroi zwisa długa czarna opończa; idzie jak ktoś, kto nie chce patrzeć, a jednak wie, że inni patrzą na niego, i stara się okazać, że go to nie obchodzi, choć w gruncie rzeczy obchodzi go bardzo, tylko że nie w ten sposób, jak to sobie inni mogą wyobrażać.

- Rycerzu, pójdz tu pokazać, jak to się robi... - Głos Bradamanty nie brzmi tak wzgardliwie jak jeszcze przed chwilą i nawet wygląd jej utracił coś ze zwykłej dumy. Postąpiła parę kroków w kierunku Agilulfa podając mu łuk z napiętą już strzałą.

Agilulf zbliża się powoli, bierze łuk, odrzuca do tyłu poły płaszcz, staje mocno, z jedną stopą wysuniętą w przód, wyciąga przed siebie ramiona i łuk. W jego ruchach nie czuje się gry mięśni i nerwów, nie czuje się wysiłku w kierowaniu strzały do celu: on po prostu reguluje wszystko tak, jak być powinno, ustala ostrze strzały na niewidzialnej linii celu, porusza łukiem dokładnie tyle, ile trzeba, i puszcza cięciwę. Strzała musi trafić w cel, nie może być inaczej. Bradamanta wykrzykuje:

- O, to, to jest strzał!

Agilulf, niewzruszony, ścisną w niezawodnych, żelaznych dłoniach łuk jeszcze drgający. Potem opuszcza go, pozwala mu upaść na ziemię. Zgarnia poły płaszcz, zaciska je ręką na pancerzu. I odchodzi. Nic nie miał do powiedzenia i nie inie powiedział.

Bradamanta podjęła z ziemi łuk, uniosła ramiona, potrząsnęła grzywą włosów na plecach.

- Któż inny potrafiłby strzelić z łuku tak czysto? Kto jest tak doskonały w każdym ruchu jak on? - To mówiąc deptała nerwowo kępki trawy i uderzała strzałami o palisadę. Agilulf był już daleko, szedł nie odwracając się za siebie; tęczowe pióra na szyszaku sterczały ku przodowi, kroczył pochylony, z dłońmi zaciśniętymi na piersi, długi płaszcz włókł się za nim.

Niektórzy spośród zgromadzonych dokoła wojów zasiedli na trawie, ze śmiechem przyglądając się rozzłoszczonej Bradamancie.

- Odkąd się zadurzyła w tym Agilulfie, nie może sobie miejsca znaleźć, biedaczka...
- Co? Coście rzekli? - Rambald, pochwywszy w locie te słowa, ścisnął gwałtownie za ramię tego, kto je wypowiedział.
- Ejże, kogutku, próżno pierś wypinasz, nie dasz rady naszej paladynce! Jej podobają się tylko zbroje wyczyszczone na zewnątrz i od środka! To nie wiesz, że jest do szaleństwa zakochana w Agilulfie?

- Ale jakże to być może... Agilulf... Bradamanta... jak to się dzieje?

- A tak, że jak dziewczuszka straci chętkę na wszystkich mężczyzn rzeczywistych, jedno, co jej pozostaje, to mieć chętkę na takiego, którego wcale -nie ma...

U Rambalda stało się już niemal nawykiem przy każdej wątpliwości czy rozterce szukać rycerza w białej zbroi. Poczłł to pragnienie i teraz, choć sam nie wiedział, czy chce go prosić o radę, czy szukać z nim zaczepki jako z rywalem.

- Hej, blondyneczko, a nie jest on trochę za wąty do łóżka? - zagadywali Bradamantę towarzysze broni. Doprawdy, żallosny to był upadek; niedawno jeszcze nikt nie pozwoliłby sobie odezwać się do niej w tym tonie.

- Powiedz - nalegali ci zuchwalcy - jak go już rozbierzesz do naga, to co ci zostaje? - i rechotali bardzo ubawieni.

Rambald cierpiał podwójnie słuchając takich rzeczy mówionych o Bradamancie i o rycerzu w białej zbroi; boleść ta pomieszała się z wściekłością - kiedy uświadomił sobie, że on sam w tym wszystkim nie odgrywa żadnej roli i nikomu nawet na myśl nie przychodzi, że jego osoba mogłaby tu zaważyć - i pograżyła go w rozpaczy odbierając wszelką otuchę.

Bradamanta chwyciła szpicrutę i jęła zataczać nią młyńce w powietrzu, przepędzając natrętów i Rambalda razem z nimi.

- A nie myślicie, że jestem na tyle kobietą, aby zmusić mężczyznę, żeby robił wszystko, co robić powinien? - rzuciła za zmykającymi.

- Hu! hu! - wykrzykiwali. - A może chcesz, żebyśmy mu coś pożyczili, to tylko słówko nam rzeknij, Bradama!

Rambald, popychany przez innych, szedł razem z czeredą rozswawolonych wojów, dopóki się nie rozproszyła. Wracać do Bradamanty nie miał już wcale ochoty, a i w towarzystwie Agilulfa czułby się nieswojo. Przypadkowo natknął się na innego samotnego młodzieńca, Torrisonnda, młodszego syna księcia Kernwalii, który szedł z wzrokiem wbitym w ziemię, melancholijnie pogwizdując. Rambald przyłączył się do tego prawie mu nie znanego kolegi, a ponieważ czuł nieodpartą potrzebę wywnętrzenia się, nawiązał z nim rozmowę.

- Jestem tutaj nowy, nic nie wiem, wszystko jest inaczej, niż się spodziewałem, wszystko się wymyka, nie dochodzi człowiek do niczego i nic nie rozumie.

Torrisonnd nie podniósł oczu, przerwał tylko na chwilę swoje posępne gwizdanie i powiedział:

- Wszystko to obrzydliwość.

- Ja, widzisz - rzekł Rambald - nie byłbym może aż takim pesymistą; są chwile, kiedy czuję się pełen zapału, nawet podziwu, wydaje mi się, że nareszcie wszystko rozumiem, i mówię sobie: jeżeli teraz widzę wszystko pod właściwym kątem, jeżeli wojowanie w armii Franków rzeczywiście tak wygląda, no to właśnie tak to sobie przecież wymarzyłem. Tylko że zaraz okazuje się inaczej i niczego nigdy nie możesz być pewny...

- A czego chciałbyś być pewien? - przerwał Torrisonnd. - Godła, stopnie, pompy,

tytuły... Nic, tylko parada. Tarcze z godłami, szczytne dewizy paladynów nie są zgoła z żelaza: jednym palcem możesz je obrócić do góry nogami.

Przyszli nad brzeg stawu. Po kamieniach przybrzeżnych skakały żaby, głośno kumkając. Torrismond obejrzał się na obozowisko i zaczął wskazywać ręką chorągwie łopocące ponad palisadą - takim gestem, jakby je przekreślał, unicestwiał.

- Ale wojsko cesarskie - zaproponował Rambald, w którym gorycz zelżała jakoś, przygłuszona wybuchem tamtego, i usiłował teraz odzyskać poczucie proporcji, by znaleźć właściwe miejsce dla swych własnych bolączek - wojsko cesarskie, przyznać trzeba, bije się jednak za świętą sprawę i broni chrześcijaństwa przeciwko niewiernym.

- Nie ma tu żadnej obrony ani też żadnej napaści; nie ma nic - rzekł Torrismond. Wojna trwać będzie po wiek wieków, nikt w niej nie zwycięży i nikt nie zostanie pokonany, wciąż i bez końca będziemy stali nieugięci jedni naprzeciw drugim. Jedni bez drugich nie byliby niczym; ale teraz, zarówno my jak oni, wszyscy zapomnieliśmy już, o co walczymy... Słyszysz te żaby? We wszystkim, co robimy, jest tyleż sensu i ładu co w tym ich rechotaniu, ich skokach z wody na brzeg i z brzegu do wody...

- Ja tak nie myślę - rzekł Rambald. - Mnie się, przeciwnie, wydaje wszystko nazbyt poszufladkowane, uregulowane... Cnoty rycerskie, męstwo, odwaga, ale wszystko takie jakies zimne... Żeby mógł być rycerz, który nie istnieje, wyznam ci, że coś takiego mnie przeraża... A przecież podziwiam go, jest tak doskonały we wszystkim, co robi, dodaje człowiekowi więcej pewności siebie, niż gdyby zwyczajnie istniał, i prawie - tu Rambald poczerwieniał - prawie rozumiem Bradamantę... Agilulf jest z pewnością najlepszym rycerzem w naszej armii...

- Phi!

- Co znaczy: phi?

- No cóż, on to także oszukaństwo, jeszcze gorsze od innych.

- Co rozumiesz przez „oszukaństwo”? Wszystko, co robi, traktuje bardzo poważnie.

- Ale! Wszystko to łgarstwo... Nie ma ani jego, ani tego, co robi, ani tego, o co mówi, nic nie ma, nic...

- Więc jakże to robi, że będąc w gorszym położeniu niż ktokolwiek inny, zajmuje w wojsku taką pozycję, jaką właśnie zajmuje? Samym tylko imieniem?

Torrismond milczał chwilę, potem powiedział cicho:

- Tu nawet imiona są fałszywe. Gdybym zechciał, wszystko wyleciałoby w powietrze. Nie ostałoby się nawet tyle ziemi, żeby na niej postawić stopę.

- Więc nic, nic nie ma prawdziwego?

- Może. Ale nie tu.

- Kto? Gdzie?

- Rycerze Świętego Graala.

- Gdzież oni są?

- W lasach Szkocji.

- Widziałeś ich?

- Nie.

- Więc skąd o nich wiesz?

- Wiem.

Umilkli. Słysząc było tylko rechotanie żab. Rambalda zaczął ogarniać lęk, że te żabie głosy zagłuszą wszystko, że i on sam pogrąży się w lepkiej, ślepej zieleni, ślepym pulsowaniu skrzeli. Ale przypomniał sobie Bradamantę, jak zjawiała się w ogniu walki z dobytym mieczem, i natychmiast lęk rozwiął się: nie mógł się już doczekać chwili, kiedy będzie walczył i dokonywał mężnych czynów przed jej szmaragdowymi oczyma.

7.

Każdej z nas tu, w klasztorze, wyznaczona jest pokuta, każda na swój sposób zasłużyć ma na zbawienie wieczne. Mnie przypadło zadanie spisywania różnych wydarzeń: ciężka to, trudna pokuta. Dokoła jest słoneczne lato, z doliny dobiegają głosy i plusk wody, moja cela jest wysoko i przez okienko widzę zakręt rzeki, gromadkę wiejskich chłopaków zażywających kąpeli, a dalej, za kępą wikliny, dziewczęta, które także zrzuciły odzież i wchodzi do wody. Jeden chłopak przepłynął pod wodą i wynurzył się tuż przy nich, a one z głośnym piskiem i krzykiem pokazują go palcami. Mogłabym i ja tam być, w wesołej kompanii młodzieży mego stanu i ze służebnymi dziewczętami. Ale nasze święte powołanie każe nam ponad zwodnicze uciechy świata przekładać coś trwałego, co po nas zostanie. Zostanie... jeżeli i ta książka, i wszystkie akty pobożne, spełniane z sercem skruszonym na popiół, nie są same tylko popiołem... bardziej popiołem niż te zmysłowe uciechy tam, na rzece, pulsujące życiem i rozszerzające się niby koła na wodzie...

Zasiada się do pisania, ale przychodzą chwile, kiedy pióro skrobie tylko po papierze zakurzonym atramentem, i nie ma w tym pisaniu ani kropelki życia. Życie jest całe na zewnątrz, za oknem, z dala od ciebie i wydaje ci się, że już nigdy nie zdołasz znaleźć schronienia na tej karcie, którą zapisujesz, nigdy nie zdołasz otworzyć sobie okna na świat, wyskoczyć. Może to i lepiej: może kiedy pisałam radośnie, nie było w tym cudu ani łaski, tylko grzech, bałwochwalstwo, pycha. Więc jakże to jest ze mną? Nie, pisząc nie zmieniałam się na lepsze. Zużyłam tylko trochę swojej nieświadomej, niespokojnej młodości. Na cóż mi się zdadzą te pełne rozczarowania karty? Książka, ślub dopełniony, tyle tylko może być warta, ile warta jesteś ty. Wcale nie jest powiedziane, że pisaniem zbawisz swą duszę. Pisziesz, piszesz, a twoja dusza może już zgubiona?

A więc chcecie, bym poszła do matki przeorowskiej i błagała ją, żeby mi wyznaczyła inną pokutę? Żeby mi kazała wyciągać wodę ze studni, prząść konopie, łuskać groch... Na nic się to nie zda. Muszę nadal pełnić swoją służbę mniszki kronikarki, muszę ją pełnić najlepiej jak potrafię. Teraz właśnie przyjdzie mi opisać ucztę paladynów.

Na przekór wszelkim regułom cesarskiej etykiety Karol Wielki lubił zasiadać do stołu przed wyznaczoną godziną, nim jeszcze zeszła się reszta biesiadników. Siada więc i zaczyna skubać chleb, ser, oliwki i pieprz turecki - wszystko, jednym słowem, co już się znajduje na stole. Nie dość na tym: robi to wszystko rękami. Władza absolutna sprawia nieraz, że nawet najbardziej umiarkowani władcy zatracają wszelkie hamulce, i tak się rodzi samowola.

Po trochu schodzą się paladyni w paradnych strojach, ale pośród brokatów i haftów przezierają tu i ówdzie druciane kolczugi i pancerze - takie lżejsze, błyszczące jak lustra, ale które pod byle ciosem sztyletu poszłyby w drzazgi. Pierwszy nadchodzi Roland i zasiada po prawicy swego cesarskiego wuja, dalej Rynald z Montauban, Astulf, Angelin

z Bayonny, Ryszard z Normandii i wszyscy inni.

Na samym końcu stołu zasiadł Agilulf, jak zawsze w swojej bojowej zbroi bez jednej plamki. Cóż on zamierzał robić przy tym stole biesiadnym, on, który nigdy nie miał i mieć nie mógł apetytu, ani żołądka do napełnienia, ani ust, do których wsuwałby jadło, ani podniebienia, by zrosić je winem burgundzkim? A jednak nie zabrakło .go nigdy na żadnej z tych uczt ciągnących się długie godziny, choć przecież mógłby o tyle lepiej zużytkować ten czas na zajęcia związane ze służbą. Bo i jakże? Ma przecież prawo do miejsca u cesarskiego stołu, więc miejsce to zajmuje; dopełnia ceremoniału uczyty z tą samą drobiazgową skrupulatnością, jaką przejawia przy każdej innej okazji.

Dania są takie same jak zawsze; uświęcone wojskową tradycją: indyk faszerowany, „gęś z rożna, wołowina z rusztu, młodziutkie prosięta, węgorki, barweny. Jeszcze słudzy nie zdążą podać półmisek, a już paladyni rzucają się na nie, szarpia mięsiwa rękami, rozrywają na kawałki, zachlapują rosółem pancerze, wszystko dokoła plamą sosami. Zamęt większy niż w bitwie: wazy z zupą przewracają się na stół, pieczone kurczęta fruwią, pacholy starają się na próżno cofać półmisek, zanim jakiś obżartuch zgarnie całą zawartość na swoją miskę.

Tylko na końcu stołu, gdzie siedzi Agilulf, wszystko odbywa się czysto, składnie i w spokoju, ale służba więcej ma roboty z nim, który nie je, niż z całą resztą biesiadników. Przede wszystkim - podczas gdy cały stół zalegają brudne talerze i między jednym a drugim daniem niepodobna ich pozmienić, każdy więc je na czym się trafi, choćby wprost z obrusa - Agilulf żąda, by wciąż stawiano przed nim świeże nakrycia i sztucce, talerze, talerzyki, miski i miseczki, kielichy i czarki najrozmaitszego kształtu i pojemności, widelce, łyżki, łyżeczki i noże (biada służbie, jeśli nie są dobrze wyostrzone), a pod względem czystości jest tak wymagający, że wystarczy najlżejsza smuga na kielichu czy sztuccu, by je odesłał z powrotem. Nabiera każdego dania: niedużo, ale nabiera; nie przepuści ani jednego. Na przykład odkroi sobie płatek dziczej pieczki, na jednym talerzu położy mięso, na miseczkę naleje odrobinę sosu, potem ostrym nożem kraje mięso na drobniutkie kawałeczki. Każdy kawałeczek przenosi na inny talerz, macza w ostrym sosie, aż dobrze nasiąknie, przekłada na trzeci z kolei talerzyk i raz po raz przywołuje pacholka, żeby zabrał ten, a przyniósł mu inny, czysty talerz. Z każdym daniem ma do czynienia dobre pół godziny, nie mówiąc już o takich, jak kurczę, bażant, drozdy: tym bawi się godzinami, nie tykając potraw inaczej niż końcami małych specjalnych nożyków, które wciąż każe sobie zmieniać, by móc zdjąć z każdej kosteczki najmniejszą bodaj odrobinę mięsa. Również winem nie gardzi, tylko wciąż je przelewa i dzieli na mnóstwo małych porcyjek w kielichach, czarkach i szklenicach, które ma przed sobą; miesza jedno z drugim, by „w końcu kazać pacholkowi zabrać je i przynieść czyste naczynia. Zużywa też dużo chleba: ugniata miękisz, toczy z niego malutkie kuleczki, zupełnie jednakowe, i układa je na obrusie w równych rzędach; skórki drobi na okruszki, z których buduje małe piramidki: dopóki, znudziwszy się, nie każe oczyścić obrusa przy swoim nakryciu małą miotłką. A potem

zaczyna od nowa.

Choć taki zajęty, nie uroni ani strzępka z rozmów toczących się przy stole i zawsze w porę wtrąci sprostowanie.

O czym rozmawiają przy uczcie paladyni? Przechwalają się, oczywiście.

Roland mówi:

- Przyznać muszę, że w bitwie pod Aspromont zanosilo się na kiepski koniec, zanim pokonałem w pojedynku króla Ago-lanta i odebrałem mu Durendalę. Trzymał ją tak mocno, że kiedy odrąbałem mu prawe ramię, dłoń pozostała zaciśnięta na rękojeści i musiałem użyć cęgów, żeby ją rozewrzeć. A na to Agilulf:

- Nie po to mówię, by ci kłam zadawać, ale gwoli ścisłości muszę zauważyć, że miecz twój uzyskany został od nieprzyjaciela na mocy układu o zawieszeniu broni, pięć dni po bitwie pod Aspromont. Figuruje on w wykazie broni lekkiej, przekazanej wojsku Franków jako jeden z warunków układu.

Mówi Rynald:

- A jednak twoja Durendala nie da się porównać z moją Fusbertą. Kiedy w czasie przejścia przez Pireneje zaatakowałem smoka, przeciąłem go jednym ciosem na pół, a wiadomo wam przecież, że skóra smoka twarda jest jak diament.

Agilulf prostuje:

- Zaraz, zaraz, ustalmy stan faktyczny: przejście przez Pireneje miało miejsce w kwietniu, a w kwietniu, każdy to wie, smoki zmieniają skórę i są miękkie jak noworodki.

A paladyni:

- No, dobrze, dobrze, tego dnia czy innego, w tym miejscu czy innym, w każdym razie tak było i nie ma po co szukać dziury w całym...

Ale byli źli. Ten Agilulf, który zawsze wszystko pamięta, na każdą okoliczność przytoczy odpowiedni dokument i choćby nie wiem jak słynny był czyn przez wszystkich uznany, zapamiętany w najmniejszym szczególe przez wszystkich, którzy nigdy nie widzieli go na oczy - on zawsze próbuje sprowadzić go do błahego epizodu, wartego wzmianki tylko w wieczornym raporcie przed dowódcą pułku. Między tym, co się dzieje na wojnie, a tym, co się później opowiada, jak świat światem zachodziły pewne różnice, ale w życiu wojownika nie ma znaczenia, czy jakiś fakt zdarzył się naprawdę, czy nie; przecież sama twoja osoba, twoja siła, twój nieodmienny sposób postępowania stanowią gwarancję, że jeśli nawet jakaś rzecz trochę inny miała przebieg, to przecież mogła mieć właśnie taki i może go mieć w przyszłości, jeżeli zaistnieje podobna okazja. Ale ktoś taki jak Agilulf nie ma nic na poparcie swoich czynów, czy to prawdziwych, czy fałszywych; jeśli nie są dzień po dniu protokolowane - wpisane do rejestrów - pozostaje po nich tylko pustka, pusta ciemność. Chciałby więc urządzać tak samo kolegów, te gąbki nasiąkłe winem z Bordeaux i przechwałkami, pięknymi projektami, co stają się od razu przeszłością, nigdy nie istniejąc w teraźniejszości, i legendami przypisywanymi kolejno to temu, to drugiemu czy trzeciemu, póki nie znaj-

dzie się bohater, który się do nich nada. Raz po raz wzywa ktoś na świadka Karola Wielkiego. Ale cesarz przeżył już tyle wojen, że wszystkie pomieszały mu się we wspomnieniu i nie wie już nawet dokładnie, w jakiej to właściwie biją się teraz. Jego zadanie to prowadzić tę wojnę, która w danej chwili się toczy, i co najwyżej pomyśleć jeszcze o następnej. Wojny już zakończone - wiadomo, potoczyły się tak czy inaczej, a to, co później o nich prawią kronikarze i trubadurzy, wymagałoby tu i ówdzie małej poprawki. Ale trudno żądać, by cesarz deptał każdemu po piętach i wtrącał się ze swoimi sprostowaniami. Jedynie w tych wypadkach, kiedy wyskoczy jakieś łgarstwo mogące wywołać niepożądane skutki w organizacji armii, stopniach wojskowych, tytułach szlacheckich czy kwestiach terytorialnych, musi majestat cesarski wypowiedzieć swoje słowo. „Swoje” - tak się to mówi, ale rzecz jasna, że tutaj wola władcy niewiele znaczy: trzeba się liczyć z faktami, wydawać sądy na podstawie wyraźnych dowodów, przestrzegać poszanowania praw i obyczajów. Toteż kiedy się do niego zwracają, wzrusza ramionami, zbywa ich ogólnikami, czy zgola jakimś nic nie znaczącym zdaniem: „Ha! Któż to wie! Na wojnie jak na wojnie” - i zaczyna mówić o czym innym. A temu rycerzowi Agilulfowi z Guildiverny, który nie przestaje kręcić swoich gałek z chleba i uparcie kwestionuje wszystkie czyny rycerskie, które przecież - nawet jeśli podane iw wersji niezupełnie ściślej - stanowią niezaprzeczoną chwałę armii, cesarz jak najchętniej wlepiłby jakąś bardzo dokuczliwą funkcję służbową; ale cóż, kiedy jak mu mówiono, najudażliwsze nawet służby są dla tego rycerza upragnionymi próbami gorliwości, a w takim razie po co?

- Nie rozumiem, czemu się tak wszystkiego czepiasz, Agilulfie - rzekł Olivier. - Chwała czynów rycerskich sama przez się rozrasta się w pamięci ludu i to właśnie dowodzi, że jest chwałą prawdziwą, zasłużoną podstawą tytułów i rang, jakie nam zostają nadane.

- Nie moich! - rzucił ostro Agilulf. - Każdy mój stopień czy tytuł otrzymałem za czyny dokładnie sprawdzone i poparte dokumentami nie do obalenia!

- Niekoniecznie! - odezwał się ktoś.

- Kto to powiedział, odpowie mi za to! - rzekł Agilulf wstając.

- Uspokój się, uspokój - jeśli go powściągać inni - ty, który zawsze masz coś do zarzucenia czynom innych, nie możesz się obrażać, jeśli się ktoś czepi i twoich...

- Ja nikogo nie obrażam: ograniczam się do precyzowania faktów, ich daty, miejsca i dowodów!

- To ja powiedziałem i gotów jestem udowodnić - przemówił wstając młody rycerz, poblady z przejęcia.

- Pragnąłbym w istocie usłyszeć Tor-rismondzie, co takiego znalazłeś w mojej przeszłości, co dałoby się zakwestionować - przemówił Agilulf do młodzieńca, którym był nie kto inny, tylko Torrismond z Korn-walii. - Chciałbyś może, na przykład, zaprzeczyć, że pasowano mnie na rycerza za to, iż, dokładnie przed piętnastu laty, ocaliłem od zgwałcenia przez dwóch rozbójników dziewicę krwi królewskiej, córkę króla

Szkocji, Sofronię?

- Tak, przeczę temu: piętnaście lat temu Sofronia, córka króla Szkocji, nie była dziewicą.

Przez całą długość stołu przebiegł szmer zdumienia. Kodeks rycerski, będący wówczas w mocy, mówił wyraźnie, że ten, kto ocalił od niewątpliwego niebezpieczeństwa cześć dziewczyną szlachetnie urodzonego dziewczęcia, uzyskuje pas rycerski. Ale temu, kto uchronił od zgwałcenia szlachciankę nie będącą już dziewicą, przysługuje tylko zaszczytna wzmianka i podwójny żołd przez trzy miesiące.

- Jak możesz twierdzić coś, co stanowi zniewagę nie tylko mojej godności rycerskiej, ale i zniewagę damy, którą mój miecz ochronił?

- Podtrzymuję, co powiedziałem.

- Dowody?

- Sofronia jest moją matką! Chóralny okrzyk zdumienia wyrwał się z piersi paladynów. Młody Torrismond nie był więc synem księcia i księżnej Korn-walii?

- Tak jest, urodziła mnie dwadzieścia lat temu Sofronia, licząca wówczas trzynaście lat - wyjaśnił Torrismond. - Oto medalion królewskiego rodu Szkocji - i sięgnąwszy pod kaftan wy dobył zawieszony na piersi medalion na złotym łańcuszku.

Karol Wielki, który do tej chwili siedział z twarzą nisko pochyloną nad talerzem rąk, uznał, że nadeszła chwila, kiedy wypada podnieść wzrok.

- Młody rycerzu - przemówił nadając swemu głosowi ton jak najbardziej cesarski - czy zdajecie sobie sprawę z wagi swego oświadczenia?

- W całej pełni - odparł Torrismond - i z tego, że cięższe jest ono dla mnie niż dla innych.

Zapadło milczenie: Torrismond zaprzeczał swoim węzłom krwi z księciem Korn-walii, a przecież właśnie jako młodszemu synowi tegoż księcia przysługiwał mu tytuł kawalera, otwierający drogę do rycerskiego pasa. Deklarując się nieprawym dzieckiem, chociaż nawet księżniczki krwi królewskiej, narażał się na usunięcie z armii.

Ale znacznie jeszcze groźniej przedstawiała się sprawa Agilulfa. - Zanim rzucił się na pomoc napadniętej przez złoczyńców Sofronii i ocalił jej cześć, był sobie zwykłym bezimiennym wojownikiem, wędrującym po świecie w swojej białej zbroi w poszukiwaniu przygód. A raczej (co niebawem stało się powszechnie wiadome) był pustą białą zbroją, bez wojownika w środku. Ocalenie Sofronii dało mu prawo do pasa rycerskiego. A że w tej chwili wakował tytuł Kawalera Selimpii Środkowej, przyznano mu właśnie ów tytuł. Jego późniejsza służba, wszystkie stopnie i odznaczenia, wszystkie tytuły, jakie kolejno dołączały się do jego imienia, stanowiły dalsze konsekwencje tamtego epizodu. Gdyby zostało dowiedzione, że dziewictwo ocalonej wówczas przez niego Sofronii już nie istniało - tym samym jego prawa rycerskie rozwiałyby się jak dym i wszystko, czego dokonał później, trzeba by uznać za niebyłe, wszystkie tytuły unieważnić; cała jego kariera stałaby się czymś równie nie istniejącym jak jego osoba.

- Matka moja poczęła mnie będąc sama jeszcze niemal dzieckiem - opowiadał Tor-

rismond - i bojąc się gniewu rodziców, kiedy jej stan odkryją, uciekła z zamku królów Szkocji i tułała się po wzgórzach i równinach. Wydała mnie na świat pod gołym niebem na wrzosowisku i wychowywała aż do piątego roku życia, wciąż wędrując po lasach i polach. Te pierwsze lata pozostały mi we wspomnieniach jako najpiękniejszy okres mego życia, gwałtownie przerwany niewczesną interwencją tego oto rycerza. Pamiętam dobrze ów dzień. Matka zostawiła mnie na straży naszej jaskini, a sama poszła jak zwykle kraść owoce i jarzyny z pól. Natknęła się na dwóch zbójców, którzy chcieli ją zgwałcić. Możliwe, że w rezultacie by się zaprzyjaźnili: moja matka nieraz uskarżała się na swoje samotne życie. Ale przyplątała się ta pusta zbroja w poszukiwaniu rycerskiej chwały i przepędziła zbójców. Dowiedziawszy się o królewskim pochodzeniu mojej matki, wziął ją pod swoją opiekę, odprowadził do najbliższego zamku, a był to właśnie zamek książąt Kornwalii, i powierzył opiece księżęcej pary. Ja przez ten czas czekałem w jaskini, samotny i zgłodniały. Moja matka niezwłocznie wyznała księciu, że ma synka, którego wbrew swej woli porzuciła. Zaraz wysłano po mnie sługi z pochodniami i sprowadzono na zamek. Iżby nie doznał uszczerbku honor szkockiego królewskiego rodu, spokrewnionego z domem książąt Kornwalii, księżęca para przyjęła mnie do siebie i uznała za syna. Moje życie było odtąd nudne i pełne rygorów, jak zwykle bywa życie młodszego syna znakomitego rodu. Nie pozwolono mi widywać matki, która wstąpiła do jakiegoś odległego klasztoru. Cała ta góra kłamstw, która wykrzywiła naturalny bieg mego życia, przygniała mnie aż po dziś dzień. Nareszcie mogę wyjawić całą prawdę. Cokolwiek mnie teraz czeka, będzie z pewnością lepsze od tego, co było dotychczas.

Na stół podano tymczasem słodycze - hiszpański placek przekładany warstwami różnobarwnych mas - ale usłyszane dopiero co rewelacje wprawiły biesiadników w takie osłupienie, że ani jeden widelec nie podniósł się ku oniemiałym ustom.

- A wy cóż macie do powiedzenia w tej sprawie? - zwrócił się Karol Wielki do Agilulfa. Wszyscy zauważyli, że nie powiedział: ryceirau.

- Wszystko to kłamstwo. Sofronia była dziewczicą. Na kwiecie jej czystości spoczywa honor mego imienia.

- Możecie tego dowieść?

- Odnajdę Sofronię.

- I spodziewacie się ją odnaleźć taką, jaka była piętnaście lat temu? - spytał złośliwie Astulf. - Nawet nasze pancerze z kutego żelaza nie trwają tak długo.

- Przywdziała welon zakonny natychmiast po tym, kiedy ją powierzyłem tej pobożnej rodzinie.

- Takie teraz czasy, że w ciągu piętnastu lat żaden klasztor w całym chrześcijańskim świecie nie uchronił się od pogromów i łupieżców, a każda mniszka mogła zdążyć zrzucić habit i przywdziać go na powrót nie jeden raz...

- Pogwałcona czystość suponuje istnienie gwałciciela. Odnajdę go i od niego wydobędę, do jakiego czasu Sofronia mogła być uznana dziewczicą.

- Daję wam zezwolenie, abyście wyruszyli natychmiast, jeśli chcecie - rzekł cesarz. - Sądzę, że w tym stanie rzeczy nic dla was nie jest pilniejsze niż odzyskać to prawo do noszenia imion i broni, którego się wam odmawia. Jeżeli ten młodzieniec mówi prawdę, nie mógłbym zatrzymać was w swojej służbie ani też brać was pod uwagę, nawet jeśli chodzi o zaległy żołd.

Mówiąc to Karol Wielki nie mógł zapanować nad uczuciem miłej ulgi, która też zadźwięczała w jego głosie, jak gdyby mówił: „Widzicie, jak nam się udało zgrabnie uwolnić od tego uciążliwego natręta?”

Biała zbroja zwisała jakoś martwo pochylona ku przodowi i nigdy tak jaik w tej chwili nie czuło się, że jest wewnątrz pusta. Spod przyłbicy wydobył się ledwie dosłyszalny szept:

- Tak, Wasza Cesarska Mość, pojedę.

- A wy - Karol Wielki zwrócił się z kolei do Torrismonda - czy zdajecie sobie sprawę, że oświadczając, iż zostaliście zrodzeni poza małżeństwem, musicie zrezygnować z awansu, który mieliście obiecany w rocznicę urodzin? Wiedzie przynajmniej, kto jest waszym ojcem? Czy możecie żywić nadzieję, że zechce was uznać?

- Nigdy nie będę mógł zostać uznany.

- Nie wiadomo. Człowiek, w miarę jak się posuwa w latach, skłonny jest zwykle regulować rachunki z ubiegłego życia. Ja sam uznałem wszystkie dzieci zrodzone z moich nałożnic, a było tego niemało i niektóre może nie są naprawdę moje.

- Moim ojcem nie jest człowiek.

- A któż? Belzebub?

- Nie, sire - rzekł Torrismond spokojnie.

- Więc kto?

Torrismond wyszedł na środek sali, przyklęknął na jedno kolano, wznosił oczy ku niebu i powiedział:

- Ojcem moim jest Świątobliwy Zakon Rycerzy Świętego Graala.

Szmer przeszedł wzdłuż biesiadnego stołu. Ten i ów spośród rycerzy przeżegnał się.

Moja matka była żywą i śmiałą dziewczynką - wyjaśnił Torrismond - i lubiła zapuszczać się głęboko w lasy otaczające zewsząd zamek królewski. Pewnego dnia w leśnej gęstwinie napotkała Rycerzy Świętego Graala, którzy tam obozowali, ćwicząc swego ducha w samotności i oddaleniu od świata. Dziewczynka zaczęła się z nimi bawić i od tej pory, ilekroć udało jej się umknąć spod nadzoru domowego, biegła do obozowiska rycerzy. I te dziecinne igraszki sprawiły, że w niedługim czasie stała się brzemienna.

Karol Wielki milczał chwilę pogrążony w myślach, wreszcie przemówił:

- Rycerze Świętego Graala złożyli wszyscy ślub czystości, żaden z nich więc nie będzie mógł uznać cię za syna.

- I wcale bym tego nie chciał - rzekł Torrismond. - Moja matka nigdy mi nie mówiła o którymś z nich specjalnie, nauczyła mnie natomiast czcić i uważać za swego ojca Zakon

jako całość.

- Skoro tak - rzekł Karol Wielki - to Zakon jako całość nie jest związany żadnym takim ślubem i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby uznał się ojcem jakiegoś ludzkiego stworzenia. Jeżeli uda ci się odnaleźć Rycerzy Świętego Graala i nakłonić ich, żeby uznali w tobie syna całego Zakonu, prawa twoje, zważywszy przywileje tego zgromadzenia, nie różniłyby się niczym od tych, które ci przysługiwały jako synowi znakomitego rodu.

- Pojadę - rzekł Torrismond.

Był to więc wieczór odjazdów w obozie Franków. Agilulf starannie i drobiazgowo przygotował do drogi swój rynsztunek i konia. Gurdulu pozgarniał na chybił-trafił derki, zgrzebla, garnki, zrobił z tego wszystkiego tobół, umieścił go przed sobą na koniu, tak że nie widząc, dokąd jedzie, skierował się w stronę przeciwną niż jego pan i pogalopował w świat, raz po raz gubiąc coś po drodze.

Nikt nie przyszedł pożegnać odjeżdżającego Agilulfa, nikt prócz paru chłopców stajennych i pomocników kowalskich, którzy nie znali się na subtelnych rozróżnieniach, za to rozumieli, że ten oficer, choć bardziej uprzykrzony od innych, jest też od innych nieszczęśliwszy. Paladyni, zasłaniając się wymówką, że nie byli powiadomieni o godzinie odjazdu, nie przyszli. Właściwie nie była to nawet wymówka; bo od chwili opuszczenia uczty Agilulf nie przemówił do nikogo ni słowa. Odjazd jego nie wywołał też żadnych komentarzy: jego funkcje rozdzielono tak, żeby każda była przez kogoś wypełniona i jakby na skutek milczącej umowy okryto nieobecność nieistniejącego rycerza powszechnym milczeniem.

Jedyną osobą, którą ten wyjazd poruszył, a nawet wstrząsnął, była Bradamanta. Przybiegła do swego namiotu i - prędko! prędko! - zwołała klucznice, pomywaczki, dziewczki kuchenne - prędko - ciskała bezładnie różnymi częściami zbroi, bronią, sztukami odzieży, i to nie tak, jak to zwykle czyniła rozbierając się czy po prostu w przypływie złości, ale tak, jakby chciała dokonać przeglądu swoich irzeezy przed drogą.

- Przygotujcie mi wszystko, odjeżdżam, odjeżdżam stąd, nie zostanę ani minuty dłużej; on pojechał, jedyny, który nadawał temu wojsku jakiś sens, jedyny, który mógł nadać sens także mojemu życiu i mojemu wojowaniu, teraz została tu już tylko gromada opojów i bydła, nie wyłączając mnie, a życie to tylko tarzanie się między łóżkiem a trumną, on jeden rozumiał jego tajemną geometrię, jego ład, on jeden umiał pojąć jego początek i koniec!

Tak mówiąc spieszenie nakładała na siebie jedną po drugiej części zbroi polowej, narzuciła płaszcz błękitny jak kwiecie barwin-ku; oto już siedziała w siodle, męska w każdym szczególe prócz owej dumnej męskiej postawy, właściwej kobietom obdarzonym prawdziwą kobiecością; spięła konia, ruszyła galopem, przewracając palisadę, zrywając linki namiotów, tratując stragany masarskie i niebawem zniknęła w tumanie pyłu. Tuman ten dostrzegł Rambald i pobiegł za nią pędem.

- Dokąd to, dokąd Bradamanto?! Ja tu jestem, dla ciebie, przez ciebie, a ty odjeżdżasz!

- wołał za nią z tym tępym, pełnym urazy uporem zakochanego, który chciałby przez to powiedzieć: „Oto jestem tutaj, młody, przepelniony miłością, jakże może jej się moja miłość nie podobać, czegoż ona chce, czemuż mnie nie bierze, czemu mnie nie kocha, czegoż więcej pragnąć może niż tego, co ja czuję, że mogę i powinienem jej dać?” Szalał tak, nie dając do siebie przystępu - rozsądkowi, aż w pewnej chwili miłość do niej stała się miłością do siebie samego, do siebie zakochanego w niej, miłością do tego, czym mogliby być oni oboje razem, a nie są. Ogarnięty furją Rambald pędzi do swego namiotu, na gwałt przygotowuje konia, broń, sakwy podróżne i rusza także, bo dobrze walczyć na wojnie można tylko wtedy, gdy spomiędzy grotów włóczni przeziera uśmiech kobiecych ust, i wtedy wszystko - rany, pył bitewny i woń końska - ma tylko smak tego uśmiechu.

Również i Torrismond wyruszył tego wieczora, tak samo smutny i zarazem pełen nadziei. Pragnął odnaleźć lasy, wilgotne, ciemne lasy swego dzieciństwa, matkę, dni spędzone w jaskini, a jeszcze dalej - czyste braterstwo ojców, zbrojnych i czujnych dokoła ognisk swego ukrytego przed światem obozu, biało ubranych, milczących, tam, w najbliższej leśnej gęstwinie, gdzie nisko zwieszono gałęzie drzew muskają bujne paprocie, a tłusta czarna ziemia rodzi grzyby, które nigdy nie oglądają słońca.

Karol Wielki powstał zza biesiadnego stołu, chwiejąc się nieco na nogach, oszołomiony nowinami o wszystkich tych nagłych wyjazdach. Idąc w stronę cesarskiego namiotu rozmyślał o czasach, kiedy w podobny sposób wyruszali Astulf, Rynald, Gwidon Dziki, Roland, by dokonywać czynów, które potem żyły w pieśniach poetów. A teraz nie sposób było ruszyć ich z miejsca, tych weteranów, poza niezbędnym minimum funkcji służbowych. „Niech jada, młodzi są, niech coś dziają” - mówił sobie Karol Wielki, przywykły, jak wszyscy ludzie czynu, dopatrywać się czegoś dobrego we wszelkim ruchu. Myśli te zaprawione były pewną goryczą ludzi starych, którzy więcej cierpią nad utratą rzeczy dawnych, niż cieszą się z nadejścia nowych.

8.

Otóż i wieczór, pisanie teraz szybciej roi idzie, od rzeki nie słychać już innych głosów prócz szumu wodospadu, do okna przylatują cicho nietoperze, gdzieś czasem zaszczeka pies, od stogów siana dobiegnie jakiś głos. Może nie tak źle wybrała dla mnie pokutę matka przeorysza: raz po raz spostrzegam się, że pióro zaczyna biec po papierze, jakby sarno z siebie, a ja tylko podążam za nim. Oboje - pióro i ja - dążymy ku prawdzie, tej prawdzie, o której wciąż się spodziewam, że wyjdzie mi naprzeciw z głębi białej karty, i którą doścignę dopiero wówczas, kiedy przy pomocy pióra zdołam pogrzebać wszystkie grzechy - gnuśność, niezadowolenie z życia, złości - które tu w moim zamknięciu mam odpokutować.

I nagle wystarczy odgłos szczurzego skoku (strych klasztorny roi się od szczurów), nagły poryw wiatru zatrzaskujący okiennicę (zawsze rada każdej dystrakcji, zrywam się czym prędzej, by ją otworzyć), wystarczy, by jakiś epizod tej historii dobiegł końca i trzeba było rozpocząć nowy, czy choćby tylko rozpocząć nową linijkę pisma - a już pióro staje się znowu ciężkie jak belka i droga ku prawdzie urywa się, niepewna.

Teraz na przykład muszę opisać ziemie, które przebiega w swej wędrowce Agilulf i jego sługa: wszystko musi być jasno wyobrażone na tej karcie - zakurzony trakt, rzeka, most; oto Agilulf przebywa most lekkim truchtem, tok-tok, tok-tok, niewiele ciąży koniowi ten rycerz bez ciała, jego rumak może odbywać długa, długą drogę bez zmęczenia, a i on sam jest, jak zawsze, niezmordowany. Teraz z kolei most dudni ciężkim galopem, tututam! tututam! - to i Gurdulu kurczowo uczepony szyi swego wierzchowca; głowy ich są tak blisko siebie, że nie wiadomo, czy koń myśli głową pachółka, czy pachółek głową konia. Znaczą na karcie linię prostą, gdzieniegdzie załamana pod kątem prostym - to droga Agilulfa. Ta druga linia - pełna zakrętasów i pętli - to ślad Gurdulu. Niech tylko przeleci przed nim motyl, już Gurdulu kieruje za nim konia, już mu się zdaje, że nie siedzi na koniu, lecz na grzbiecie motyla, wnet gubi drogę i krąży po łąkach. Tymczasem Agilulf jedzie dalej przed siebie, prosto wytkniętą drogą. Zdarza się, że bezdrożny szlak Gurdulu zbiegnie się z jakimś niewidocznym skrótem (a raczej koń pobiegnie wybraną przez siebie ścieżką, bo jeździec zgoła nim nie kieruje) i po wielu zakrętasach i nawrotach włóczęga odnajduje się u boku swego pana na właściwym trakcie.

W tym miejscu nad rzeką zaznaczam młyn. Agilulf zatrzymuje się i pyta o drogę. Młynarka odpowiada mu grzecznie, częstuje winem i chlebem, ale on odmawia. Przyjmuje tylko obrok dla konia. Droga jest pełna kurzu i słońca. Poczciwi młynarzowie dziwią się, że rycerzowi nie chce się pić.

Ledwo odjechał, zjawia się Gurdulu z takim rumorem, jakby cały pułk galopował.

- Nie widzieliście mojego pana?

- A kto jest twoim panem?

- Rycerz... nie: koń...
- Jesteś w służbie u konia?
- Nie... to mój koń jest w służbie u innego konia...
- A kto na tym koniu jedzie?
- Eee... tego nie wiadomo.
- A na twoim koniu kto jedzie?
- Ba! Jego o to pytajcie!
- I ty także nie chcesz jeść ani pić?
- O, tak, tak! Jeść! Pić! - i pożądlawie łyka ślinę.

To, co teraz rysuję, to miasto otoczone murami. Tędy wypada droga Agilulf a. Ale strażnicy przy bramie żądają, żeby odsłonił twarz; mają rozkaz nie przepuszczania nikogo z zakrytą twarzą, bo mógłby to być srogi rozbójnik, który grasuje w okolicy. Agilulf odmawia, dobywa miecza, siłą wywalcza sobie przejście, a potem ucieka.

To, co rysuję za miastem, to las. Agilulf przemierza go wzdłuż i wszerz dopóty, póki nie odszuka straszliwego zbójcy. Rozbraja go, zakuwa w łańcuchy i wlecze przed tych zbirów, którzy wzbranieli mu wstępu do miasta.

- Oto macie w więzach tego, któregoście się tak bali!

- Bądź błogosławiony, biały rycerzu! Ale powiedz nam, kim jesteś i dlaczego nie chcesz podnieść przyłbicy.

- Moje imię znajduje się u kresu mojej podróży - odpowiada Agilulf i odjeżdża.

W mieście jedni mówią, że to archanioł, inni, że dusza pokutująca.

- Koń biegł tak lekko - mówi ktoś - jakby nie miał nikogo na grzbiecie.

Tam, gdzie las się kończy, biegnie inna droga, prowadząca także do miasta. Tą drogą jedzie Bradamanta. Strażnikom przy bramie mówi:

- Szukam rycerza w białej zbroi. Wiem że jest tutaj.

- Nie. Nie ma go - odpowiadają.

- Jeżeli go nie ma, to właśnie jest on.

- Więc jedź go szukać tam, gdzie jest. Stąd odjechał.

- Widzieliście go naprawdę? Biała zbroja, wydaje się, że w środku jest człowiek...

- A któż tam jest, jeśli nie człowiek?

- Ktoś, kto więcej znaczy od jakiegokolwiek człowieka!

- Wygląda mi to coś na diabelskie sztuczki - odzywa się jakiś starzec -[^]akże i twoje sztuczki, rycerzu o słodkim głosie!

Bradamanta spina konia i ucieka. Wkrótce potem na rynek wjeżdża Rambald i wstrzymuje konia:

- Nie przejeżdżał tędy rycerz?

- Jaki? Dwóch tu przejeżdżało, a ty jesteś trzeci.

- Mówię o tym, który gonił drugiego.

- Czy to prawda, że jeden z nich nie jest człowiekiem?

- Ten drugi to kobieta.

- A pierwszy?

- Nic.

- A ty?

- Ja? Ja... jestem człowiekiem, mężczyzną.

- Chwała Bogu!

Agilulf jedzie drogą, Gurdulu za nim. Nagle na drogę wbiega dziewczyna - włosy potargane, suknia w strzępach - i rzuca się na kolana. Agilulf wstrzymuje konia.

- Ratunku, szlachetny rycerzu! - woła dziewczyna - o pół mili stąd stado straszliwych niedźwiedzi trzyma w oblężeniu zamek mojej pani, zacnej wdowy Briscilli. W zamku jest nas tylko kilka bezbronnych kobiet. Nikt nie może wejść ani wyjść. Spuszczono mnie na sznurze z murów i tylko cudem umknęłam z pazurów tych bestii. Rycerzu, przybądź nas uwolnić!

- Mój miecz jest zawsze na usługi wdów i istot bezbronnych - rzecze Agilulf. - Gurdulu, weź to dziewczę na siodło, niech nas poprowadzi do zamku swojej pani.

Jadą górską drożyną. Giermek na przedzie, ale drogi wcale przed sobą nie widzi. Piersь kobiety usadowionej w objęciu jego ramion przebłyskuje pełna i różowa spomiędzy strzępów odzienia. Gurdulu czuje, że traci głowę.

Dziewczyna nie odrywa oczu od Agilulfa.

- Jak szlachetną postawę ma twój pan! - mówi.

- Hm, hm - mruczy Gurdulu w odpowiedzi, wyciągając dłoń w kierunku tego ciepłego łona.

- Jest taki pewny siebie i wyniosły w każdym słowie, każdym geście... - ciągnie dziewczyna wciąż wpatrzona w Agilulfa.

- Hm - odpowiada Gurdulu i obiema rękami, okręciwszy wodze dokoła przegubu, usiłuje wybadać, jakim sposobem ktoś może być tak jędrny i tak miękki jednocześnie.

- A głos - mówi dziewczyna - taki ostry, metaliczny...

Z ust Gurdulu dobywał się tylko głuchy pomruk, może dlatego że ma usta wciśnięte w zagłębienie pomiędzy szyją a ramieniem dziewczyny i zupełnie jest zagubiony w tym rozkosznym wonnym zakątku.

- Jakaż szczęśliwa będzie moja pani, że to on właśnie uwolni ją od niedźwiedzi... O, jakże jej zazdroszczę... Ale popatrz no: zboczyliśmy z drogi! Co z tobą, giermku, żeś taki roztargniony?

Na zakręcie ścieżki ubogi pustelnik wyciąga rękę z miseczką prosząc o jałmużnę. Agilulf, który każdego napotkanego żebraka z reguły obdarza jałmużną w niezmiennej wysokości trzech soldów, wstrzymuje konia i szpera w sakiewce.

- Niech wam Bóg błogosławi, rycerzu - rzecze pustelnik chowając monetę do kieszeni, a potem daje mu znak, żeby się nachylił, bo chce szepnąć mu coś na ucho: - A ja odpłacę wam się zaraz dobrą radą: strzeżcie się wdowy Priscilli! Bajka o niedźwiedziach to zwykła pułapka: ona sama chowa te niedźwiedzie, żeby mieli ją od czego ratować mężni rycerze przejeżdżający pobliskim traktem. Przywabia ich do

swego zamku, żeby zaspokajać swoje nigdy nie nasycone żądze.

- Może to i prawda, co powiadacie, braciszku - odpowiada Agilulf - ale ja jestem rycerzem i nie mogę odmawiać pomocy kobiecie, która błaga o nią ze łzami.

- Nie boicie się płomieni rozpusty? Agilulf zmieszał się trochę.

- No, cóż, zobaczymy...

- Wiecie, co zostaje z rycerza, który raz wszedł do tego zamku?

- Cóż takiego?

- To właśnie, co widzicie. Ja także byłem rycerzem, ja także ratowałem Priscillę od niedźwiedzi, i oto co się ze mnie zrobiło.

Rzeczywiście wyglądał raczej żałośnie.

- Zapamiętam wasze doświadczenia, bracie, ale i nie cofnę się przed próbą - to rzekłszy Agilulf spał konia i dopędził Gurdulu z dziewczyną.

- Strasznie lubią plotkować ci pustelnicy - odezwała się dziewczyna. - Nigdzie indziej, w kompanii duchownej czy świeckiej nie spotkasz tyle plotek i obmowy.

- Dużo jest pustelników w tych stronach?

- Mnóstwo. I ciągle przybywa jakiś nowy.

- Ja nie będę jednym z nich - rzekł Agilulf. - Spieszmy się.

- Słyszę już ryk niedźwiedzi! - wykrzyknęła dziewczyna. - Boję się! Pozwólcie mi zsiąść i ukryć się za tym żywopłotem.

Agilulf śmiało wjechał na plac, pośrodku którego wznosiły się mury zamku. Dokoła aż czarno było od niedźwiedzi. Na widok konnego rycerza stanęły w zwartym szyku zagradzając mu drogę i szczerząc groźnie zęby. Agilulf natarł na nie, wywijając włócznią, niejednego przebił, inne ogłuszył, pobił, pokaleczył. Przybyły w ślad za nim Gurdulu zaatakował bestie różnem. Nie minęło dziesięć minut, a już wszystkie prócz tych, które zostały na placu boju, rozciągnięte na kształt futrzanych dywaników, umknęły kryjąc się w leśnej gęstwinie.

Rozwarły się wrota zamku.

- Szlachetny rycerzu, zali moja gościna zdoła się wypłacić za to, com waszmości winna?

W progu ukazała się Priscilla w otoczeniu swoich dworek i służebnych. (Była wśród nich i ta dziewczyna, która służyła przybyszom za przewodniczkę; trudno pojąć, jakim sposobem znalazła się już w domu i nawet zdążyła zmienić poszarpaną odzież na schludny fartuszek.)

Agilulf, a za nim Gurdulu weszli w progi zamku. Wdowa Priscilla była niezbyt wysoka, nie zanadto pulchna, ale gładka, pierś miała niedużą, ale śmiało podaną naprzód, czarne błyszczące oczy - jednym słowem niczego sobie kobieta. Stała naprzeciw białej zbroi Agilulfa, patrząc nań z wyraźnym upodobaniem. Rycerz trzymał się sztywno, trochę onieśmielony.

- Rycerzu Agilulfie, Emo Bertrandinie z Guildiverny - przemówiła Priscilla - znam wasze miano i wiem dobrze, kim jesteście i kim nie jesteście.

Na to oświadczenie Agilulf, jakby uwolniony od czegoś, co go krępowało, wyzbył się nieśmiałości i przybrał pewny siebie wygląd. Niemniej jednak ugiął kolano, powiedział: „Sługa pani” - i szybko się poderwał.

- Wiele o waszmości słyszałam - mówiła dalej Priscilla - i od dawna pragnęłam was spotkać. Jakież cud sprowadził znakomitego rycerza na tak ustronne drogi?

- Podróżuję - odparł Agilulf - by trafić, nim będzie za późno, na ślad pewnej dziewiczej cnoty sprzed piętnastu lat.

- Jak żyję nie słyszałam o rycerskiej wyprawie mającej za cel coś równie trudno uchwytne - rzekła Priscilla - ale skoro i tak piętnaście lat minęło, sądzę, że mogę bez zbytnich skrupułów opóźnić rzecz o jeszcze jedną noc, prosząc waszmość, abys zechciał przyjąć na tę noc gościnę w moim zamku.

To rzekłszy poprowadziła go do komnat.

Cały niewieści dwór stał nie spuszczać oczu z Agilulfa, dopóki nie zniknął wraz z kasztelanką w głębi długiego szeregu komnat. Wtedy dopiero obejrzały się na Gurdulu.

- Ach, jakież przystojny giermek! - jęły wołać jedna przez drugą, klaszcząc w ręce. On tymczasem stał jak głupi, drapiąc się. - Szkoda tylko, że zapchlany i że tak cuchnie! - mówiły. - Dalej, żywo, wyszorujmy go!

Zabrały go do swojej kwatery i rozebrały do naga.

Priscilla powiodła Agilulfa do stołu nakrytego na dwie osoby.

- Znana mi jest wasza wstrzeźliwość, rycerzu - powiedziała mu - ale nie wiem, jakbym was mogła uczcić inaczej niż zapraszając na początek do tego stołu. Oczywiście - dodała z wiele mówiącym uśmiechem - dowody wdzięczności, jakie zamyślam wam złożyć, do tego się nie ograniczą.

Agilulf podziękował, usiadł naprzeciw kasztelanki, uskubnął drobinę chleba, ugniół między palcami, siedział chwilę w milczeniu, potem chrząknął i zaczął gawędzić o tym i owym.

- Zaprawdę, dziwne i szczęśliwe bywają przygody, o pani, jakie z woli losu przypadają błędnemu rycerzowi. Da się je wszelako podzielić na pewną ilość odrębnych rodzajów. Pierwszy... i rozprawia tak uprzejmy, precyzyjny, rzeczowy, chwilami może odrobinę zbyt drobiazgowy, zaraz jednak wynagradza to lotnością, z jaką przechodzi na inne tematy, przeplatając poważne wywody dowcipnymi sentencjami czy żartem, ale zawsze w dobrym guście, oraz wypowiadając o faktach i osobach sądy ani zbyt pochlebne, ani nadmiernie surowe, a zawsze takie, żeby mogła je sobie przyswoić jego rozmówczyni, uprzejmymi, zręcznymi pytaniami podsuwa jej sposobność wypowiedzenia własnych poglądów.

„Jakież cudowny gawędziarz” - mówi sobie Priscilla z lubością.

Raptem, równie nagle jak zaczął mówić, tak teraz zapada Agilulf w milczenie.

- Czas rozpocząć pieśni - mówi Priscilla i klaszcze w dłonie. Na salę wchodzi lutnistki. Jedna intonuje pieśń „Jednorozec zerwie różę”; po niej druga: „Jaśmin,

veuillez embellir le beau coussin”.

Agilulf znajduje właściwe słowa pochwały dla muzyki i głosów.

Wbiega taneczny korowód dziewczątek. Mają na sobie leciutkie tuniki i girlandki kwiecica na włosach. Agilulf akompaniuje uderzając rytmicznie żelaznymi rękawicami o stół.

Nie mniej wesoło płaśniano w innym skrzydle zamku, w kwaterach dam dworu. Skąpo ubrane młode osoby grają w piłkę i usiłują wciągnąć do gry Gurdulu. Giermek, ubrany również w lekką tunikę, którą mu te panie pożyczyły, zamiast stać na swoim miejscu i czekać aż piłkę rzucą do niego, upędza się za nią, chce koniecznie dostać ją do rąk, rzuca się całym ciałem to na tę, to na inną z dworek, a kiedy w tym zamęcie ni stąd, ni zowąd chwyci go zupełnie inna chęć, tarza się ze swoją zdobyczą po miękkich wyściełanych ławkach rozstawionych dokoła.

- Och, cóż ty robisz? Nie, nie, ty oślisko!

Ach, patrzcie, co on mi robi, nie, nie, ja chcę grać w piłkę, ach! ach! ach!

Gurdulu nic już teraz nie rozumie. Ciepła kąpiel, jaką mu urządziły, słodkie pachnidła i te białoróżowe ciała dokoła - wszystko to wzbudza w nim jedno pragnienie: roztopić się w tym morzu rozkoszy.

- Ach! Ach! Ten znowu tutaj! O, matko moja, opamiętaj się, ty...

Inne grały w piłkę jakby nigdy nic, żartowały, śmiały się, śpiewały: „Hej, hej, płynie miesiąc wysoko”...

Każda, którą Gurdulu pochwycił i odciągnął na stronę, po ostatnim, przeciągłym okrzyku wracała do towarzyszek, zaczerwieniona, trochę oszołomiona, i zaraz, śmiejąc się głośno, klaszcząc w ręce i wołając: „Tu, tu, do mnie!” - włączała się do ogólnej zabawy.

A już po chwili Gurdulu tarł się następną.

- Wynoś się, a sio, a sio, och, jaki natrętny, jaki brutal, nie, nie, och, boli, och, co ty... - i ulegała.

Inne damy i dziewczątka, nie biorące udziału w grze, siedziały na ławkach pogrążone w rozmowie: „... a to dlatego, rozumiecie, że Filomena była zazdrosna o Klarę, a tymczasem... - i nagle mówiąca czuje, że ramię Gurdulu obejmuje ją w pasie. Ach, jakim się przestraszyła!... a tymczasem, jak wam mówiłam, Wiligelm chodził z Eufemią... alez gdzie ty mnie niesiesz?... - Gurdulu zarzucił ją sobie na plecy. - ...Rozumiecie? A ta głupia ze swoją zazdrością, jak to zawsze bywa...” - papple, żywo gestykulując, podczas gdy Gurdulu znika, unosząc ją na plecach.

Niebawem wraca potargana, z oberwanym ramiączkiem i papple dalej, jakby nie było żadnej przerwy: „Więc powiadam wam, Filomena zrobiła Klarze scenę, a tamten tymczasem”...

Z sali jadalnej tancerki i śpiewaczki wycofały się już dyskretnie. Agilulf długo i szczegółowo wyliczał pani zamku kompozycje, które nadworni muzycy Karola Wielkiego wykonywali najczęściej.

- Zmierzcha się na niebie - mówi Pri-scilla.
- Już noc, noc zupełna - potwierdza Agilulf.
- Komnata, którą dla waszmości przeznaczyłam...
- Dzięki. Słysząc śpiew słowika w parku.
- Komnata, którą dla waszmości przeznaczyłam... to moja własna...
- Gościnność pani jest zaiste doskonała...

O, to na tamtym dębie ten słowik śpiewa. Podejźmy do okna.

Wstaje, podsuwa jej swoje żelazne ramię, stają we wnęce okiennej. Trele słowicze dają Agilulfowi asumpt do całej serii poetyckich i mitologicznych porównań.

Ale Priscilla ucina jego wywody:

- No tak, słowik śpiewa z miłości. A my...

- Ach! Miłość! - wykrzyknął Agilulf tak gwałtownie, że aż się Priscilla przełękła. A on z punktu zaczął wygłaszać rozprawę na temat namiętności miłosnej. Priscilla, mile podniecona, pociągnęła go do komnaty, w której królowało ogromne łóżce z baldachimem.

- U starożytnych, którzy miłość uważali za bóstwo... - ciągnie bez wytchnienia Agilulf.

Priscilla zamyka drzwi na dwa spusty, zbliża się do niego, dotyka pochyloną głową jego pancerza i szepcze:

- Zimno mi, kominek zgaś...

- Poglądy starożytnych - mówi Agilulf - co do tego, czy lepiej się kochać w pomieszczeniach zimnych czy ciepłych, są z sobą sprzeczne. Większość jednak uważa...

- O, jak ty wszystko wiesz o miłości... - wzdycha Priscilla.

- Większość, odrzucając pomieszczenia nazbyt gorące, opowiada się jednak po stronie pewnej naturalnej ciepłoty...

- Czy mam zawołać służebne, żeby roznieciły ogień?

- Ja sam rozpalę.

Obejrzał uważnie drewnka ułożone na palenisku, pochwalił ten i ów gatunek opału, wymienił rozmaite sposoby rozpalania ognia na otwartym powietrzu i w pomieszczeniach zamkniętych. Przerwało mu głośne westchnienie Priscilli; zrozumiał, że te jego nowe wywody grożą rozproszeniem miłosnej atmosfery, która już zaczęła się wytwarzać, Agilulf jął zręcznie przyozdabiać dyskusję o ogniu aluzjami i porównaniami na temat temperatury uczuć i zmysłów.

Priscilla z uśmiechem, z przymkniętymi oczyma, wyciągając ręce ku płomykom, które zaczynały już trzaskać wesoło, mówi:

- Jakie miłe ciepło... Jak słodko byłoby się nim cieszyć pod kołdrą, leżąc...

Wzmianka o pościeli nasuwa Agilulfowi szereg nowych uwag: jego zdaniem, trudna sztuka ślania łóżek jest we Francji nie znana i nawet w najznamienitszych pałacach spotyka się prześcieradła źle naciągnięte.

- Ach, nie, jak to, i na moim łóżku także? - protestuje wdowa.

- Z pewnością łóżko pani jest łóżem na miarę królowej i nie może się z nim równać żadne inne na terytorium cesarstwa, proszę jednak wybaczyć, jeśli pragnienie, aby widzieć panią otoczoną wyłącznie przedmiotami godnymi pani pod każdym względem, każe mi surowo osądzać tę oto fałdkę...

- Och, rzeczywiście, fałdka! - wykrzykuje Priscilla, której z punktu udzieliła się Agilulfowa troska o doskonałość.

Rozścielają łóżko systematycznie, warstwa za warstwą, odkrywając i ganiąc coraz to inne garbiki, wzdęcia, miejsca zbyt mocno naciągnięte, przeciwnie, zbyt luźne, a czynność ta to wtrąca Priscillę w otchłań bólu, to porywa w siódme niebo wzniosłej radości.

Rozruciwszy pościel aż do dna, czyli do siennika, Agilulf przystępuje do zaścielania go wedle wszelkich reguł sztuki. Jest to nader skomplikowana operacja: nic nie może być przypadkowe, wszystko musi mieć jakieś tajemne powiązania. Rycerz wyjaśnia to wdowie w sposób wyczerpujący. Ale raz po raz jednak coś wzbudza jego niezadowolenie, a wtedy zaczyna wszystko od nowa.

Z drugiego skrzydła zamku rozległ się krzyk, a raczej jakiś nieopanowany ryk czy wycie.

Priscilla zadrżała.

- Co to było?

- To nic, to głos mojego sługi - wyjaśnił.

Z rykiem tym mieszały się inne, ostrzejsze głosy, jakieś jęki, westchnienia, niebosiężne okrzyki.

- Ale teraz, co to? - zastanawiał się Agilulf.

- Och, to moje dziewczęta - odrzekła Priscilla - bawią się... cóż, wiadomo, młodość.

Wrócili do swojego zajęcia, nasłuchując jednak po trosze odgłosów nocy.

- Gurdulu krzyczy...

- Ileż hałasu robią te kobiety...

- Słowik śpiewa...

- Świerszcze...

Wreszcie łoże jest gotowe, bez zarzutu. Agilulf spogląda na wdowę. Jest naga. Szaty skromnie osunęły się z niej na podłogę.

- Damom nagim zaleca się - oświadcza Agilulf - jako najbardziej wyrafinowaną podniętę zmysłów, uścisk wojownika w pełnej zbroi.

- Brawo! Mnie to mówisz? Nie pierwszyzna to dla mnie! - to mówiąc Priscilla podskakuje i zręcznie wspina się na Agilulfa obejmując jego pancerz ramionami i nogami.

Zademonstrowała po kolei wszystkie najrozmaitsze sposoby, jak można obdarzyć uściskiem zbroję, po czym rozmarzona wsuwa się do łóżka. Agilulf przyklęka u jej wezgłowia.

- Włosy - mówi.

Rozbierając się Priscilla nie zburzyła kunsztownej koafiury swoich kruczych włosów. Agilulf zaczyna jej tłumaczyć, jak wielką rolę w uniesieniu zmysłów odgrywają roz-

puszczone włosy.

- Spróbujmy.

Zdecydowanymi, a zarazem delikatnymi ruchami swych żelaznych dłoni rozplata misterną budowlę warkoczy, pozwalając włosom opaść swobodnie na pierś i ramiona.

- A jednak - mówi po chwili - większą chyba mądrość przypisać należy temu, kto woli damę o ciele nagim, ale z głową nie tylko kunsztownie uczesaną, ale ozdobioną ponad to welonami i diademami.

- Spróbujemy i tego?

- Ja sam panią uczeszę.

Wykazał niezwykłą zręczność w splataniu warkoczy, układaniu ich i przyszpilaniu na głowie. Następnie skonstruował wyrafinowany strój z woali i klejnotów. Zabrało to całą godzinę, ale Priscilla, kiedy na koniec podał jej zwierciadło, ujrzała siebie tak piękną jak nigdy.

Zachęciła go do położenia się u jej boku.

- Mówią, że Kleopatra każdej nocy śniła o tym, że ma w swoim łóżku rycerza w zbroi - rzuca Agilulf od niechcenia.

- Nigdy nie próbowałam - rzecze Priscilla - wszyscy zawsze zdejmują ją przedtem.

- No, więc teraz pani spróbuje. - I powolutku, ostrożnie, żeby nie zmiąć prześcieradeł, wsuwa się do łoża w pełnej zbroi i leży nieruchomo jak pomnik grobowy.

- I nawet miecza nie zdejmiecie z rapci?

- Miłosna żądza nie uzna dróg pośrednich.

Priscilla przymyka oczy w ekstazie. Agilulf unosi się na łokciu.

- Dymi. Wstanę i zobaczę, dlaczego kominek źle ciągnie.

W okno zagląda księżyc. Wracając od kominka do łoża Agilulf przystaje:

- Pani, wyjdźmy na mury ucieszyć oczy tą nocną poświatą.

Owinął ją swoim płaszczem. Objęci uściskiem wchodzą na wieżę zamkową. Światło księżycy srebrzy las. Słyszą śpiew zięby. W niektórych oknach zamku świeci się jeszcze, dolatują stamtąd krzyki, śmiechy, jęki, a nad wszystkim górują ryki Gurdulu.

- Cała przyroda jest miłością...

Wrócili do komnaty. Ogień na kominku wygasł już prawie. Przykucnęli obok rozdmuchując żar. Kiedy byli tak zajęci i różowe kolana Priscilli muskały żelazne nakolannice rycerza, rodziła się między nimi jakaś nowa, inna bliskość, intymniejsza i bardziej niewinna.

Kiedy Priscilla wróciła do łóżka, w okno zaglądał już świt.

- Nic tak nie zmienia twarzy kobiety jak pierwszy brzask poranka - rzekł Agilulf, ale po to, by twarz ukazała się w najlepszym świetle, uznał za konieczne przesunąć w inne miejsce łożko i baldachim.

- Jaka jestem? - pyta wdowa.

- Prześliczna.

Priscilla była uszczęśliwiona. Ale słońce wznosiło się szybko po niebie i chcąc podą-

żyć za jego promieniami, Agilulf wciąż musiał przesuwać łożko.

- Już dzień - powiedział. Głos jego brzmiał teraz jakoś inaczej. - Moja powinność rycerska każe mi o tej godzinie wyruszać w drogę.

- Już! - jęknęła Priscilla. - Właśnie teraz!

- Żałuję, szlachetna damo, ale zadanie, które mnie czeka, jest jeszcze ważniejsze.

- - Och, było tak pięknie...

Agilulf ugiął kolano. „Pobłogosław mnie, Priscillo”. Wstaje, nawołuje swego sługę. Obszedłszy cały zamek znajduje go wreszcie, do cna wyczerpanego, śpiącego kamiennym snem w psiej budzie. „Żywo na koń!” - woła. Ale musi go sam dźwignąć i załadować na siodło. Słońce wznosząc się coraz wyżej ukazuje dwie konne sylwetki na złocistym tle lasu: sługa przewieszony jak worek w poprzek końskiego grzbietu, rycerz, prosty i cienki jak smukły cień topoli.

Priscillę wnet otoczyły dworki i służebne.

- Jak było, pani nasza, jak było?

- Ach, gdybyście wiedziały! Co za mężczyzna...

- Ale mówcie, opowiadajcie nam, pani, jaki on jest?

- Cudowny... Cała noc, to jeden nieustający raj...

- Ale co robił? Co robił?

- To się nie da opisać... Było cudownie!... Cudownie...

- Ale skoro on jest... no, jakże? Mówcie, mówcie, pani...

- Teraz już nie umiałabym powtórzyć... Tyle nadzwyczajności... Ale wy, jak tam z tym giermkim...?

- Z giermkim? Ach, nic, ja nie wiem, może ty? Albo ty? Nic sobie nie przypominam...

- Jakże to? Dobrze was było słycać, moje miłe...

- Ach, biedaczysko, ja tam nic nie pamiętam, może ta albo tamta... ale ja? Pani nasza, opowiedzcie nam lepiej o nim, o rycerzu! Jaki on był, ten Agilulf?

- Och, Agilulf!

9.

Pisząc tę książkę, tak jak mnie wiedzie trop poprzez nieczytelne prawie karty starej kroniki, teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że choć zapisałam już tyle, tyle stronic, wciąż jestem właściwie u samego początku mojej opowieści; gdyż tu dopiero zaczyna się właściwa historia, czyli pełne przygód wędrówki Agilulfa i jego sługi w poszukiwaniu dowodów dziewictwa Sofronii; z tym wątkiem splatają się inne: peregrynacje Bradamanty, która ściga i jest zarazem ścigana, zakochanego Rambalda oraz Torrisonda tropiącego ślady Rycerzy Świętego Graala. Ale opowieść, zamiast wybiegać mi żwawo spod pióra, płacze się jakoś, zwalnia bieg, a kiedy pomyślę, ile muszę jeszcze przelać na papier szlaków wędrówki, przeszkód, pościgów, omyłek, pojedynków i turniejów, czuję się zupełnie zagubiona. Oto jak twarda dyscyplina klasztornej kronikarki i gorliwa pokuta - nieustanne szukanie właściwych słów i rozmyślanie nad ostateczną istotą rzeczy - do głębi mnie odmieniły: to, co w oczach pospólstwa - i w moich do tej pory - uchodzi za najciekawsze, owa płatanina niezwykłych przygód nieodzowna w każdym romansie rycerskim, wydaje mi się obecnie niepotrzebną, obojętną ozdobą, najbardziej niewdzięczną częścią mego zadania.

Chciałabym opowiadać płynnie i szybko, każdą stronicę upstrzyć pojedynkami i bitwami, przelać ich tam tyle, ile starczyłoby na cały poemat, ale kiedy tylko zatrzymam się na chwilę i próbuję odczytać, co napisałam, spostrzegam, że pióro nie zostawiło na papierze żadnego śladu i że karty są czyste, białe.

By opowiedzieć wszystko tak, jakbym chciała, musiałaby ta biała karta zjeżyć się poszarpanymi skałami, sfałdować w piaszczyste wydmy, gdzie wśród kamyków wyrastają kolczaste krzaki jałowca. Pośrodku, tam, gdzie wije się ledwo dostrzegalna ścieżyna, ukazałabym Agilulfa, sztywno wyprostowanego na koniu, z włócznią sterczącą u siodła. Ale ponad tą skalistą okolicą karta powinna ukazywać kopułę niebios, tak niską, że zaledwie mogą pod nią latać stada kraczących kruków. Powinnam kartę poskrobać leciutko piórem, żeby wyglądało, jakby łąką przebiegła właśnie chyża łania, ledwo widoczna w wysokich ziołach, jakby po wrzosowisku przemknął zajac, który oto wychynał na odkrytą przestrzeń, przystanął, powęszył ruchliwym noskiem o krótkich wąsikach i zniknął.

Wszystko to porusza się na gładkiej karcie, choć nic nie widać, nic się nie zmienia na powierzchni, podobnie jak to, co porusza się w głębi, nie zmienia nic na szorstkiej skorupie ziemi - bo to tylko rozpostarta warstwa tej samej materii, zupełnie jak ta karta, na której piszę, rozpostarty płąt, co kurczy się, marszczy, przybiera rozmaite kształty, różnaitą konsystencję i różne odcienie barw, a jednak można go sobie wyobrazić jako gładką powłokę na płaskiej powierzchni, mimo tych kształtów włochatych, pierzastych czy sękatych jak skorupa żółwia; i wydaje się czasami, że ta włochatość, pierzastość czy sękatostć jest w ruchu, a to tylko zmieniają się wzajemne stosunki między różnymi

cechami tej warstwy jednolitej i w gruncie rzeczy nic nie zmienia miejsca. Rzec można, że tym jednym, co zmienia naprawdę miejsce, co naprawdę się porusza, jest Agilulf - nie mówię o jego koniu, nie mówię o jego zbroi, ale o tym czymś samotnym, niecierpliwym i niespokojnym, co podróżuje konno wewnątrz jego zbroi. Dokoła niego szyszki opadają z gałęzi, strumyki płyną bystro po kamieniach, ryby pluszcza w strumykach, gąsienice ogryzają liście, żółwie czołgają się twardym brzuchem po ziemi, ale wszystko to jest tylko złudzeniem ruchu, wiecznym posuwaniem się naprzód i cofaniem jak fala morska. W tej to właśnie fali kołysze się bezwładnie Gurdulu, więzień tego wszystkiego, rozplaszczony i rozpostarty w tym samym cieście co szyszki, ryby, gąsienice, kamienie i liście - nikła grudka na skorupie świata.

O ileż jeszcze trudniej wyznaczyć na tej karcie szlak wędrowki Bradamanty, Rambalda czy posepnego Torrismonda! Trzeba byłoby zrobić na gładkiej powierzchni leciutką rysę, taką, jakby się po drugiej stronie papieru przesunęło ostrzem szpilki; ale ta rysa, ta linijka, byłaby także częścią wspólnej materii świata i właśnie na tym polega jej sens i piękno, i ból, istota jej tarć i ruchu.

Jakże jednak będę mogła snuć dalej swoją opowieść, jeżeli zacznę tak pstrzyć białe karty, żłobić w nich bruzdy i załamy, marszczyć je i kaleczyć, wyczytując z tego wszystkiego wędrowki paladynów? Lepiej dopomogę sobie w opowiadaniu, jeżeli narysuję mapę tych miejsc - słodkie krainy Francji, dumną Bretanię, Kanał Angielski z jego czarnymi wodami, dalej, u góry, Szkocję, a u dołu - dzikie Pireneje, Hiszpanię, jeszcze w rękach niewiernych, i Afrykę, skąd pochodzą węże. Następnie strzałkami, cyferkami i krzyżykami wyznaczę szlaki wędrowek tego czy innego z naszych bohaterów. Oto na początek mogę już szybko nakreślić, mimo pewnych niewielkich zakrętów, linią doprowadzić Agilulfa do brzegów Anglii, a stamtąd do klasztoru, w którym przed piętnastu laty zamknęła się Sofronia.

Przybywa tam i widzi na miejscu klasztoru dymiące zgliszcza.

- Za późno przybywacie, szlachetny rycerzu - mówi mu jakiś starzec. - Jeszcze te doliny rozbrzmiewają echem krzyków nieszczęsnych mniszek. Okręty mauretańskich piratów przybiły do tych wybrzeży, niewierni właśnie dopiero co splądrowali klasztor, uprowadzili wszystkie mniszki w niewolę i puścili z dymem klasztorne budynki.

- Urowadzili? Dokąd?

- Aby je sprzedać w Maroku, szlachetny panie.

- Czy znajdowała się wśród tych mniszek jedna, która w świeckim stanie była córką króla Szkocji, Sofronia?

- Ach, macie na myśli siostrę Palmirę! Czy była? Pewnie, że była, wynieśli ją na plecach, zbóje! Nie taka z niej już młódka, ale wciąż jeszcze wielce urodziwa. Pamiętam, jakbym ją jeszcze słyszał, jak krzyczała napadnięta przez tych niegodziwców.

- Byliście obecni przy grabieży?

- Cóż chcecie, panie, my tu na wsi jesteśmy zawsze na miejscu.

- I nie przyszliście im z pomocą?

- Jakże? Wszystko, szlachetny panie, odbyło się tak raz-dwa... nie było komu nas poprowadzić, doświadczenia także nie mamy... Mieliśmy się źle spisać, tośmy się namyślili raczej nic nie robić.

- A powiedzcie mi, owa Sofronia w klasztorze przykładne życie wiodła?

- W dzisiejszych czasach mniszki bywają rozmaite; ale już co się tyczy siostry Palmiry, to w całym biskupstwie drugiej tak pobożnej i czystej nie było.

- Żywo, Gurdulu, wracamy do portu i wsiadamy na okręt do Maroka.

Wszystko, co teraz zaznaczam falistą linią, to jest morze, a raczej ocean. Teraz narysuję okręt, na którym Agilulf odbywa swoją podróż, a dalej zrobię ogromnego wieloryba z napisem „Morze Ocean”. Ta strzałka tutaj oznacza drogę okrętu. Inną strzałką zaznaczam drogę, którą płynie wieloryb; tutaj się spotkają. Czyli że w tym miejscu oceanu okręt spotka się z wielorybem, i właśnie dlatego narysowałam wieloryba większego, że to on będzie górą w tym spotkaniu. Rysuję teraz dużo strzałek skierowanych we wszystkie strony na znak, że między wielorybem i okrętem toczy się zażarta walka. Agilulf walczy jak na niego przystało, wbija włócznię w bok zwierza. Oblewa go fontanna wielorybiego tranu o mdłej woni; zaznaczam to tymi rozpryskującymi się na wszystkie strony kreseczkami. Gurdulu skacze na grzbiet wieloryba i nie troszczy się więcej o okręt, który przewraca się pod uderzeniami ogona. Agilulf w swej żelaznej zbroi idzie natychmiast na dno. Ale zanim zniknął pod wodą, krzyknął jeszcze do swego sługi:

- Czekaj na mnie w Maroku! Idę tam piechotą!

Istotnie, opadłszy na głębokość całych mil w morze, Agilulf wylądował na piaszczystym dnie i ruszył przed siebie żwawym krokiem. Spotykał na swej drodze rozliczne morskie potwory i walczył z nimi mieczem. Jediną niedogodnością mogła

być - sami chyba wiecie, co zagraża zbroi na dnie morskim - rdza. Ale że została od góry do dołu doskonale natłuszczona tranem wielorybim, biała zbroja miała na sobie warstwę ochronną, która utrzymała ją w nienagannym stanie.

Z kolei rysuję na oceanie żółwia. Gurdulu zdążył połknąć co najmniej kwartę wody, zanim pojął, że to nie morze ma być w nim, ale on jest w morzu. Wreszcie zdołał się ucześcić wielkiego morskiego żółwia. Trochę dając mu się unosić, a trochę usiłując nim kierować przy pomocy szczypania i łaskotania, zbliżał się powoli do brzegów Afryki. Aż zaplątał się w sieć saraceńskich rybaków.

Wyciągnąwszy sieci na brzeg rybacy spośród trzepoczących się, lśniących barwen ujrzeli człowieka w zapleśniałych łachmanach, oblepionego wodorostami.

- Człowiek-ryba! Człowiek-ryba! - zaczęli wołać.

- Jaka tam ryba: to Gudi-Ussuf! - rzekł najstarszy z rybaków. - To Gudi-Ussuf, ja go znam!

Gudi-Ussuf było to jedno z imion, pod jakim znany był Gurdulu w obozie mahomekańskim, przy kuchniach, kiedy to przemykał się niepostrzeżenie przez linię frontu i pożywił się u wojsk sułtana. Najstarszy z rybaków był żołnierzem wojsk mauretań-

skich w Hiszpanii. Znając Gurdulu, jego wielką siłę fizyczną i potulne usposobienie, wziął go do siebie, żeby z niego zrobić poławiacza ostryg.

Pewnego wieczoru rybacy, i Gurdulu wśród nich, siedzieli na kamieniach na marokańskim wybrzeżu, zajęci otwieraniem świeżo złowionych ostryg, kiedy z wody wynurzył się najpierw mokry pióropusz, potem szyszak, pancierz, w końcu całkowita zbroja i spokojnym krokiem zbliżała się do brzegu.

- Człowiek-homar! Człowiek-homar! - zaczęli wykrzykiwać rybacy, z przerażeniem kryjąc się wśród skał.

- Jaki tam znów człowiek-homar! - rzekł Gurdulu. - To mój pan! Musicie być strasznie zmordowani, rycerzu! Taki kawał drogi na piechotę!

- Wcale nie jestem zmęczony - odparł Agilulf - a ty, co tu robisz?

- Szukamy pereł dla sułtana - wtrącił się eks-żołnierz. - Co wieczór musi podarować kolejnej żonie nową perłę.

Mając trzysta sześćdziesiąt pięć żon sułtan odwiedzał każdej nocy inną, każda więc gościła go raz do roku. Miał zwyczaj za każdym razem ofiarowywać żonie perłę, kupcy

152
musieli mu więc dostarczać codziennie jeden piękny świeży okaz. A że właśnie wyczerpał się im zapas, zwrócili się do rybaków, żeby za wszelką cenę znaleźli dla nich odpowiednią perłę.

- Wy, rycerzu, którzy potraficie tak wędrować po dnie morskim - zwrócił się do Agilulf a były żołnierz - czemu nie mielibyście przyłączyć się do naszego przedsięwzięcia.

- Rycerz nie przyłącza się do imprez mających na celu zysk, zwłaszcza jeśli są przedsiębrane przez nieprzyjaciół jego wiary. Dziękuję ci, o poganinie, za to, żeś karmił i wyratował tego oto mego sługę, ale czy wasz sułtan będzie mógł ofiarować perłę swojej trzysta sześćdziesiątej piątej małżonce, czy też nie - figę mnie to obchodzi.

- Ale nas obchodzi, bo nie chcemy zarobić na chłostę - rzekł rybak. - Dzisiaj nie będzie to taka zwykła małżeńska noc, jak inne. Przyszła dziś kolej na oblubienicę zupełnie nową, którą sułtan ma odwiedzić po raz pierwszy. Kupiona została, przed rokiem od piratów i aż po dzień dzisiejszy czekała na swoją kolej. Nie wypada, żeby sułtan udał się do niej z próżnymi rękoma, tym bardziej, że chodzi tu o waszą współ-wyznawczynię, Sofronię ze Szkocji, księżniczkę krwi królewskiej, uprowadzoną w niewolę do Maroka i od razu przeznaczoną do haremu naszego władcy.

Agilulf wcale nie okazał, jak go ta wiadomość poruszyła.

- Doradzę wam wyjście z kłopotu - rzekł. - Niech kupcy zaproponują sułtanowi, żeby zaofiarował nowej oblubienicy, zamiast zwykłej perły, coś, co ulży jej tęsknocie za krajem ojczystym: kompletną zbroję chrześcijańskiego rycerza.

- A skądże weźmiemy taką zbroję?

- Moją - oświadczył Agilulf. Sofronia czekała nadejścia wieczoru w swoim apartamencie w pałacu żon sułtańskich. Przez kratę wąskiego, ostro zakończonego okna

widziała palmy w ogrodzie, sadzawki, rabaty kwietne. Słońce chyliło się ku zachodowi, słychać było wołania muezzina, w ogrodzie rozwierały swe kielichy wonne kwiaty nocy.

Ktoś puka. Już czas! Nie, to tylko zwykli eunuchowie. Przynoszą dar od sułtana. Zbroję. Zbroję zupełnie białą. Co to ma znaczyć? Zostawszy znowu sama. Sofronia wraca do okna. Już prawie rok przebywa tutaj. Kiedy została zakupiona do haremu, wyznaczono ją na miejsce jednej z żon, świeżo popadłej w niełaskę: jej kolej miała przypaść za jedenaście miesięcy z górą. Przebywać tak w haremie nie mając żadnego zajęcia, dzień po dniu, tyle czasu - nuda gorsza jeszcze niż w klasztorze.

- Nie lękajcie się, szlachetna Sofronio - odezwał się jakiś głos za jej plecami. Odwróciła się szybko. To zbroja przemówiła. - Jestem Agilulf z Guildiverny, który niegdyś już raz ocalił waszą niepokalaną cnotę.

- Ratunku! - jęknęła sułtańska oblubienica, ale zaraz się opanowała. - Ach, tak, właśnie zdawało mi się, że tę białą zbroję gdzieś już widziałam. To wy przybyliście w ostatniej chwili, przed laty, aby przeszkodzić zbójowi, który chciał zadać mi gwałt...

- A teraz przybywam w ostatniej chwili ocalić was od hańby tego pogańskiego małżeństwa.

- A tak, tak... Zawsze wy...

- Teraz pod osłoną mego miecza wyprowadzę was nie tkniętą poza granice władztwa sułtana.

- A tak, tak... oczywiście...

Kiedy nadeszli eunuchowie oznajmiając przybycie sułtana, zostali w pień wycięci. Otulona w płaszcz Sofronia biegła przez ogrody u boku rycerza. Straże wszczęły alarm, ale krzywe karabele nie wytrzymały starcia z niezawodnym mieczem wojownika w białej zbroi. Jego tarcza skutecznie oparła się atakowi całego oddziału włóczników. Gurdulu czekał z końmi, ukryty w zaroślach opuncji. A w porcie gotowa do odjazdu feluka. Stojąc na pokładzie Sofronia widziała, jak nikną w oddali palmy wybrzeża.

Teraz rysuję na morzu felukę. Trochę większą od tamtego poprzedniego okrętu, żeby nawet w razie spotkania z wielorybem nie stało się nieszczęście. Tą zakrzywioną linią znaczę drogę feluki, którą chciałabym szczęśliwie doprowadzić do przystani w Saint-Malo. Niestety, na wysokości Zatoki Biskajskiej jest już taka plątanina linii, że lepiej będzie poprowadzić felukę trochę bokiem, ku górze, i jeszcze ku górze, a tu: trrach! wpada na skały u brzegów Bretanii! Rozbija się, idzie na dno, z trudem udaje się Agilulfowi z pomocą Gurdulu przyholować Sofronię szczęśliwie do brzegu.

Ale Sofronia jest bardzo wyczerpana. Agilulf postanawia umieścić ją w napotkanej grocie i wyruszyć ze swoim sługą do obozu Karola Wielkiego, aby tam oznajmić, że dziewictwo Sofronii, a więc i jego rycerski tytuł, są nie tknięte. Grotę na wybrzeżu bretońskim zaznaczam krzyżykiem, o tu, żeby ją łatwiej odszukać. Nie wiem, oo to za kreska przechodzi w tym samym miejscu: teraz już doprawdy ta moja mapa jest we wszystkich kierunkach okropnie pokreślona. Ach, prawda, to jest linia, którą oznaczy-

łam drogę Torrisonda. A zatem pogrążony w smętnej zadumie młodzieniec przejeżdża właśnie tędy, podczas gdy Sofronia spoczywa w grocie. On także zbliża się do groty, wchodzi do wnętrza, spostrzega śpiącą.

10.

Skąd się tam wziął Torrismond? W czasie gdy Agilulf przeprowiał się z Francji do Anglii, z Anglii do Afryki, a z Afryki do Bretanii, rzekomy młodszy syn księcia Kornwalii przebiegał wzdłuż i wszerz puszcze całego chrześcijańskiego świata szukając tajemnej siedziby Rycerzy Świętego Graala. Ponieważ ów święty zakon z roku na rok zmienia miejsce pobytu i nigdy go nie ujawnia profanom, Torrismond nie miał żadnych wskazówek, które mogłyby mu ułatwić poszukiwania. Wędrował, gdzie go oczy poniosły, wiedziony tylko odległymi, niejasnymi wspomnieniami, które kojarzyły mu się z imieniem Graala. Ale czy szukał on rzeczywiście siedziby pobożnych braci, czy raczej ścigał majaki wspomnień własnego dzieciństwa spędzonego na wrzosowiskach Szkocji? Czasem, kiedy otworzyła się przed nim niespodzianie czarna gardziel wąwozu z gęstwiną modrzewi albo przepaść, gdzie na szarym, skalistym dnie pędził z szumem spieniony potok, ogarniało go niezrozumiałe wzruszenie, które on brał za przecucie czy wskazówkę. „Może są gdzieś tutaj, blisko” - mówił sobie. A jeżeli w dodatku dobiegł jego uszu daleki, posępny głos rogu, wtedy już Torrismond nie miał wątpliwości: zaczynał przetrząsać teren piędziesiątka za pięćdziesiątka, szukając jakiegoś śladu. Ale znajdował co najwyżej zabłąkanego myśliwca albo pasterza i jego stado.

Dotarłszy do odległej krainy Kurwaldii zatrzymał się w jakiejś wiosce i poprosił o trochę sera i razowego chleba.

- Podziękuję się z wami chętnie, młody panie - powiedział mu stary pasterz kóz. - Ale popatrzcie tylko na nas, na mnie, moją żonę i dzieci, jacy jesteśmy wynędzniali, chudzi jak szkielety! Daniny, które musimy składać rycerzom, są doprawdy zbyt dla nas ciężkie. Te lasy roją się od waszych kolegów, tylko że inaczej chodzą ubrani. Jest ich całe wojsko, a co do wyżywienia, rozumiecie: wszystko spada na nas!

- Rycerze mieszkający w lesie? Jaki noszą ubiór?

- Biały płaszcz, hełm złoty z dwoma białymi skrzydłami łabędzimi po bokach.

- I bardzo są pobożni?

- A, pobożni to oni są, a jakże. I pieniędzmi rąk sobie nie kalają, bo nie mają grosza. Ale za to ile wymagań, a my musimy być we wszystkim posłuszni. Teraz nie mamy już nic, głód panuje srogi. Kiedy przyjdą następnym razem, cóż im damy?

Młodzieniec nie słuchał już, pędził w stronę lasu.

Pośród łąk, po spokojnej wodzie rzeczki sunęło powoli stadko łabędzi. Torrismond szedł brzegiem strugi, za nimi. W zaroślach zadźwięczało coś niby cicha muzyka harfy - flin, flin, flin! Młodzieniec szedł, a dźwięki te zdawały się to iść za nim, to wyprzedzać go - flin, flin, flin! W miejscu, gdzie zarośla były nieco rzadsze, Torrismond dojrzał postać ludzką. Był to rycerz w hełmie ozdobionym białymi skrzydłami, w rękach trzymał włócznię i jednocześnie małą harfę, na której próbował wciąż tego samego akordu - flin, flin, flin. Nie odezwał się; jego wzrok nie unikał Torrismonda, po prostu

przesuwał się po nim, jakby go wcale nie dostrzegał, a jednak wydawało się, że mu towarzyszy czy raczej służy za przewodnika: ilekroć pnie i chaszczę ich rozdzielały, pomagał mu odnaleźć drogę przywołując go tym swoim arpeggiem - flin, flin, flin. Torrismond chciałby się do niego odezwać, wypytać go, ale szedł za nim tylko w milczeniu, onieśmielony.

Wyszli na leśną polankę. Gdziekolwiek Torrismond zwrócił oczy, widział wojowników uzbrojonych we włócznie, w złocistych pancerzach i obszernych, długich białych opończach. Każdy zwrócony w inną stronę, trwali bez ruchu. Jeden karmił ziarnem łabędzia, ale i ten miał wzrok utkwiony w pustkę. Na głośniejszy nieco dźwięk harfy jeden z wojowników, siedzący na koniu, uniósł róg, przytknął go do ust i wydał donośny, przeciągły zew. Kiedy umilkł, wszyscy ruszyli się z miejsc, postąpili parę kroków w jego kierunku i zatrzymali się znowu.

- Rycerze - rzekł przemógłszy się Torrismond - wybaczcie mi, może się mylę, ale czy nie jesteście Rycerzami Świętego Gra...

- Nigdy nie wymawiaj tego imienia! - przerwał mu jakiś głos za jego plecami. Odwrócił się i ujrzał tuż za sobą siwowłosego rycerza. - Czyż nie dość, żeś tu przyszedł zmącić nasze pobożne skupienie?

- Och, wybaczcie! - zwrócił się do niego młodzieniec. - Taki jestem szczęśliwy, że znalazłem się wśród was! Gdybyście wiedzieli, ile się was naszukałem!

- Po co?

- Bo... - i chęć wyjawienia swego sekretu przezwyciężyła w Torrismondzie obawę przed popełnieniem bluźnierstwa - bo jestem waszym synem!

Stary rycerz wydawał się niewzruszony.

- Tutaj nie znamy ojców ani synów - przemówił po chwili milczenia. - Kto wstępuje do Świętego Zakonu, zrzuca z siebie wszystkie ziemskie więzy.

Torrismond poczuł się bardziej zawiedziony niż odepchnięty. Przygotowany był nawet na pełen oburzenia protest ze strony tych swoich czystych ojców; byłby mógł przeciwstawić swoje racje, przytaczając dowody, powołując się na zew krwi; ale ta odpowiedź, taka spokojna, która, nie zaprzeczając istnienia faktów wykluczała wszelką dyskusję ze względów zasadniczych - odbierała mu odwagę.

- Nic innego nie pragnę, tylko tego - próbował jeszcze nalegać - by Święty Zakon, dla którego żywię bezgraniczne uwielbienie, uznał mnie swoim synem.

- Skoro tak wielbisz nasz Zakon - rzekł starzec - nie powinienes mieć innych pragnień prócz tego, by zostać zaliczonym w jego poczet.

- Byłoby to możliwe? - wykrzyknął Torrismond pociągnięty tą nową perspektywą.

- Kiedy staniesz się tego godzien.

- Co trzeba zrobić?

- Oczyszczać się stopniowo, wyzbywać wszelkich namiętności, pogrążyć się całkowicie w umiłowaniu Graala.

- O, wypowiedacie to imię?

- My, Rycerze, możemy. Wy, profani, nie.

- Ale powiedzcie mi, dlaczego wszyscy tutaj milczą, a tylko wy jeden mówicie?

- Na mnie bowiem spoczywa obowiązek stykania się z profanami, kiedy zachodzi tego potrzeba. Słowa bywają nieczyste, Rycerze wołają się więc od nich powstrzymywać, chyba że przez ich usta przemawia Graal.

- Powiedzcie mi: co mam robić na początek?

- Widzisz ten liść klonu? Zebrała się na nim kropla rosy. Wpatruj się nieruchomo, bez przerwy, w tę kropelkę rosy, stań się nią samą, zapomnij o całym świecie, trwaj tak, dopóki nie poczujesz, że zatraciłeś się zupełnie i że przenika cię nieskończona siła Graala.

To rzekłszy poszedł sobie. Torrismond zaczął wpatrywać się w kropkę, patrzył, patrzył, ale nie przestawał myśleć o swoich sprawach; zobaczył pająka, który opuścił się z góry na liść, patrzył na pająka, znowu zaczął patrzeć na kropkę, poruszył nogą, bo mu ścierpła, uff! - był okropnie znudzony. Dokoła w lesie to ukazywali się, to znikali rycerze, kroczyli powoli, usta mieli otwarte i wytrzeszczone oczy, u boku każdego z nich kroczył łabędź i rycerze raz po raz gładzili ręką ich miękkie pióra. Od czasu do czasu któryś unosił nagle ramiona i zaczynał biec wydając przytłumione okrzyki.

- A ci tam - Torrismond nie mógł powstrzymać się od zapytania starca, kiedy ten ukazał się w pobliżu - co się z nimi dzieje?

- Ekstaza - rzekł starzec. - Jest to coś, czego ty nigdy nie zaznasz, jeżeli będziesz nadal taki roztargniony i ciekawy. Ci bracia osiągnęli na koniec stan całkowitego stopienia się ze wszystkim.

- A ci inni? - zapytał młodzieniec. Niektórzy z rycerzy kurczyli się, jakby wstrząsały nimi dreszcze, i stroili dziwaczne miny.

- Ci są jeszcze w stadium pośrednim. Zanim poczuje, że jest częścią słońca i gwiazd, nowicjusz czuje w sobie tylko rzeczy najbliższe, ale wrażenie to jest tak silne, że często wywiera, zwłaszcza na najmłodszych, szczególny wpływ. Ci nasi bracia, których tu widzisz, słuchając, jak szumi strumyk, jak szeleszczą liście i jak rosną grzyby pod ziemią, doznają czegoś w rodzaju lekkiego, miłego łaskotania.

- I nie męczy ich to, tak na dłuższą metę?

- Stopniowo osiągają stadia wyższe, w których obejmują ich już nie tylko bezpośrednio, najbliższe wibracje, ale wielki oddech niebios, i tak po trochu wyzwalają się od zmysłów.

- Ze wszystkimi tak się dzieje?

- Z nielicznymi. A tak zupełnie, to tylko z jednym z nas, z Wybrańcem, Królem Graala.

Wyszli na rozległy plac, gdzie ogromny zastęp rycerzy odbywał ćwiczenia przed trybuną osłoniętą baldachimem. Pod baldachimem Torrismond zobaczył siedzącą albo raczej skuloną nieruchomą postać, podobną bardziej do mumii niż do żywego człowieka, odzianą w strój Rycerzy Graala, ale bardziej wspaniałą. Oczy miał ten stwór

szeroko otwarte, wytrzeszczone, twarz zasuszoną jak kasztan.

- Czy on żywy? - zapytał młodzieniec.

- Żywy, ale tak przejęty umiłowaniem Graala, że nie potrzebuje już ani jeść, ani się poruszać, ani załatwiać naturalnych potrzeb, nieomal nawet oddychać. Nie widzi i nie słyszy. Nikt nie zna jego myśli; zapewne odbija się w nich krążenie odległych planet.

- Ale po co mu każą przyjmować parady wojskowe, jeżeli nie widzi?

- To należy do rytuału.

Rycerze wciąż demonstrowali sztukę szermierczą. Poruszali mieczami automatycznie, patrząc w przestrzeń, ich ciosy były twarde, nagłe, jak gdyby nie potrafili przewidzieć, co zrobią w następnej chwili. Mimo to każdy ruch był bezbłędny.

- Jakże oni mogą walczyć, kiedy wyglądają, jakby spali?

- Święty Graal jest w nas, to on porusza naszymi mięśniami. Miłość wszechświata może przybrać formę straszliwego gniewu i nakazać nam, byśmy z miłości przebijali wrogów na wylot. Nasz Zakon jest niezwyknięty w wojnie dlatego właśnie, że walczymy bez żadnego wysiłku i żadnego wyboru, pozwalając by o władnię nami święty gniew.

- I to się zawsze udaje?

- Tak, temu kto zatracił ostatnią resztkę ludzkiej woli i pozwala, by jedynie siła Graala rządziła każdym jego najmniejszym gestem.

- Każdym najmniejszym gestem! Więc i teraz, kiedy tak chodzicie?

Starzec posuwał się jak lunatyk.

- Pewnie. To nie ja poruszam stopą i pozwalam jej się poruszać. Spróbuj. Wszyscy zaczynają w ten sposób.

Torrismond próbował, ale po pierwsze; wcale mu się nie udawało, a po drugie; nie miał na to najmniejszej ochoty. Dokoła był las, gęsty i zielony, pełen szelestów i ptasiego świergotu, Torrismond wolałby uganiać po nim, ścigać zwierzynę, zmierzyć się z tym cieniem, tajemnicą, obcością przeciwstawiając im siebie samego, swoją siłę, swój trud, swoją odwagę. Zamiast tego miałby tu stać i kiwać się jak paralityk?

- Pozwól sobą zawładnąć - pouczał go starzec - pozwól, żeby wszystko tobą zawładnęło.

- Ale ja - wyrwało się Torrismondo-wi - wolałbym sam władać, niż żeby mną władano.

Starzec skrzyżował łokcie przy twarzy, tak żeby zakryć jednocześnie oczy i uszy.

- Wielki szmat drogi masz jeszcze do przebycia, chłopcze.

Torrismond pozostał w obozie rycerzy Graala. Usiłował uczyć się, naśladować swoich ojców czy braci (nie wiedział już doprawdy, jak ich powinien nazywać), starał się zdławić każdy odruch duchowy, który wydał mu się nazbyt indywidualny, i roztopić się w nieskończonej miłości Graala; śledził uważnie każdy najdrobniejszy przejaw owych niewypowiedzianych doznań, które wprawiały w ekstazę jego towarzyszy. Ale dzień za dniem mijał, a jego oczyszczenie nie posuwało się ani o krok naprzód.

Wszystko, co im sprawiało największą rozkosz, jemu wydawało się nieznośne: te mistyczne głosy, ta muzyka, ta wieczna gotowość do wewnętrznej wibracji. A zwłaszcza nieustanna obecność współbraci, tak dziwnie ubranych, półnagich a w pancerzach i złocistych hełmach, o ciałach białych jak papier, współbraci, z których jedni byli już starzy, inni bardzo młodzieńcy, wydelikaceni, podejrzliwi i zazdrośni - stawała się dla Torrisonda coraz bardziej odstręczająca. W dodatku, pod pozorem, że to Graal rządzi każdym ich poruszeniem, pozwalali sobie na wielkie rozluźnienie obyczajów, nie przestając mówić o swojej nieskalanej czystości.

Sama myśl o tym, że któryś z nich mógł go spłodzić w ten sposób - z oczyma utkwionymi w przestrzeń, nie zważając nawet na to, co robi, i natychmiast potem zapominając - była nie do zniesienia.

Nadszedł dzień składania daniny. Wszystkie okoliczne wioski obowiązane były w ściśle ustalonych terminach dostarczać Rycerzom Graala pewnej ilości serów, kaszy, marchwi, worków jęczmienia i młodziutkich jagniąt. Przyszła delegacja wieśniaków.

- Chcemy powiedzieć, że w całym kraju ten rok jest bardzo ciężki. Nie mamy czym nakarmić własnych dzieci. Głód zapanował nawet u bogatych, nie tylko u biedaków. Pobożni rycerze, przychodzimy prosić was pokornie, abyście nas zwolnili od daniny ten jeden raz.

Król Graala tkwił pod swoim baldachimem milczący i nieruchomy jak zawsze. Ale oto powolnym ruchem rozłączył dłonie, które trzymał splecione na brzuchu, uniósł je w górę (paznokcie miał zdumiewająco długie), a z jego ust dobył się dźwięk;

- Iiih...

Na to hasło wszyscy rycerze zwrócili swe włócznie ostrzami ku biednym Kurwaldczy-kom.

- Na pomoc! Brońmy się! - zakrzyknęli wieśniacy. - Dalej! Po siekiery i kosy! - i rozbiegli się do domów.

Nocą rycerze, z oczyma wciąż utkwionymi w niebo, przy dźwiękach rogów i piszczałek pomaszrowali na wioski. W chmielnikach i za żywopłotami czekali na nich wieśniacy zbrojni w widły i siekiery; usiłowali ich zatrzymać, ale niewiele mogli zdziałać przeciwko ostrym włóczniom rycerzy. Przełamawszy słabą linię obrony, najeźdźcy rzucili się na swych ciężkich, potężnych koniach na chaty sklecone z kamienia, słomy i gliny, tratując je kopytami, głusi na krzyki kobiet, płacz dzieci, beczenie cieląt. Inni przez ten czas żagwiami podpalali słomiane strzechy, stogi, obórki i mizerne spichrze, tak że niebawem wioski zamieniały się w płonące stosy, z których dobywał się ryk bydła i ludzkie jęki.

Torrisond, wciągnięty mimo woli w ów najazd, doznał wstrząsu:

- Ale dlaczego, mówcież! - krzyczał do starego rycerza, trzymając się blisko niego, bo tylko z nim mógł się jakoś porozumieć.- Więc to nieprawda, że przepelnia was miłość do wszystkich! Hej, uwaga, stratujecie tę staruszkę! Jak wy macie sumienie tak się pastwić nad tymi biedakami? Ratunku, kołyska się pali! Ach, oo robicie?

- Nie próbuj dociekać woli Graala, nowicjuszu! - zgromił go starzec. - Nie my to czynimy; to Graal rządzi naszymi postępkami! My tylko poddajemy się jego gniewnej miłości!

Ale Torrismond zeskoczył z konia i biegł z pomocą jakiejś matce, podnosił z ziemi dziecko i podawał jej!

- Nie! nie! Nie odbierajcie mi całego plonu! Tyle się napracowałem! - krzyczał jakiś starzec w rozpacz.

Torrismond znalazł się u jego boku. .

- Puść worek, zbój! - i natarł ostro na rycerza, wrywając mu zdobycz.

- Bądź błogosławiony! Zostań z nami! - wołali nieboracy usiłujący jeszcze stawiać opór przy pomocy wideł, noży i toporów.

- Ustawcie się w półkole, uderzymy na nich wszyscy razem! - krzyknął Torrismond stając na czele obrońców.

Wypędzał najeźdźców z chat. Nagle ujrzał przed sobą starego rycerza i dwóch innych z płonącymi pochodniami.

- To zdrajca, bierzcie go! Wywiązała się zażarta walka. Chłopi dźgali nożami, kobiety i dzieci ciskały kamienie. Nagle zagrał róg. - Odwrót! - W obliczu oporu rycerze rozproszyli się już tu i ówdzie, a teraz jęli spieszenie wycofywać się z wioski.

Cofnęli się i ci, którzy otoczyli Torrismonda.

- Odejdźmy, bracia! - zawołał starzec - idźmy, dokąd nas powiedzie Graal!

- Chwała Graalowi! - zakrzyknęli chórem, zawracając końmi.

- Niech żyje zbawca! Uratowałeś nas! - cała ludność wioski zbiegła się do Torrismonda. - Rycerz jesteś, a przecież szlachetny! Nareszcie jeden taki! Zostań z nami! Powiedz, czego chcesz: wszystko ci damy!

- Teraz... teraz sam już nie wiem, czego chcę... - jękał Torrismond.

- My także nie wiedzieliśmy nic przed tą bitwą, nawet tego, że jesteśmy ludźmi... A teraz wydaje nam się, że możemy... że chcemy... że musimy zrobić wszystko... Choćby było bardzo ciężko... - I odwracali twarze płacząc po swoich zmarłych.

- Nie mogę zostać z wami... Nie wiem, kim jestem... Żegnajcie... - i już odjeżdżał galopem.

- Wracaj! - wołali za nim, ale on był już daleko, coraz dalej od wioski, od lasu Graala, od Kurwaldii.

Podjął znów swoją wędrówkę po świecie. Do tej pory gardził wszelkimi uciechami i zaszczytami, opętany jedynym ideałem Świętego Zakonu Rycerzy Graala. Teraz, kiedy ten ideał rozwiązał się, jakież nowy cel sobie postawić, jaki kres ukazać swoim niepokojom?

Żywił się dzikimi owocami po lasach, zupą z bobu w napotkanych klasztorach, jeżami morskimi, które zbierał na przybrzeżnych płycznach pośród skał. Aż raz na bretońskim wybrzeżu, szukając jeżowców, spostrzegł w grocie skalnej śpiącą kobietę.

Zobaczył ją i poczuł, że to pragnienie, które kazało mu wędrować po świecie w poszukiwaniu cienistych miejsc porośniętych miękkim aksamitem ziół, muskanych łągod-

nymi podmuchami wiatru, pragnienie przejrzystych, chłodnych dni bez słońca - teraz oto, kiedy patrzył na długie, czarne rzęsy opuszczone na blade, pełne policzki, na łagodnie linie ciała śpiącej, na rękę miękko spoczywającą na wypukłej piersi, na bujne rozpuszczone włosy, jej usta, jej palce, jej oddech - pragnienie to doznało nagle ukojenia.

Kiedy stał tak pochylony wpatrując się w nią, Sofronia otworzyła oczy.

- Proszę, nie zrób mi nic złego - powiedziała nieśmiało. - Czego szukasz na tym odludziu, pośród skał?

- Szukam czegoś, czego zawsze mi brakowało, i dopiero teraz, kiedy widzę ciebie, pani, wiem, co to takiego. Skąd się wzięłaś na tym wybrzeżu?

- Zmuszono mnie do małżeństwa, mimo że byłam mniszką, z pewnym wyznawcą Mahometa. Ale małżeństwo nie zostało nigdy dopełnione, gdyż byłam trzysta sześćdziesiątą piątą żoną i dzięki interwencji oręza chrześcijańskiego znalazłam się tutaj, jako ofiara rozbicia okrętu w powrotnej drodze, tak jak przedtem stałam się ofiarą srogich piratów.

- Rozumiem. I jesteś tu sama?

- Mój wybawca udał się do cesarza; miał tam, jeśli dobrze zrozumiałam, jakieś pilne sprawy.

- Rad byłbym ofiarować ci, pani, opiekę mego miecza, lękam się tylko, czy uczucie, jakie we mnie na twój widok zapłonęło, nie podyktuje mi czegoś, co mogłabyś pani uznać za niezbyt przystojne.

- Och, pozbądź się skrupułów, niejedno w życiu widziałam. Choć, co iprawda, ilekroć sprawa zbliża się ku końcowi, wyskakuje skądś wybawca, zawsze ten sam.

- Teraz też się zjawi?

- Och, nigdy nie wiadomo.

- Powiedz mi swoje imię, pani.

- Azira; albo siostra Palmira. Zależy, czy w haremie sułtana, czy w klasztorze.

- Aziro, wydaje mi się, że zawsze cię kochałem... że już dawno owładnęłaś moją duszą...

11.

Karol Wielki podązał konno w stronę bretońskiego wybrzeża. - Wnet się przekonamy, wnet się okaże, Agilulfie z Guildiverny, bądźcie spokojny. Jeżeli to, co mi powiadacie, jest prawdą, jeżeli ta kobieta zachowała swoje dziewictwo sprzed lat piętnastu - nie ma co mówić, wasze prawa pasowanego rycerza pozostają w mocy, a ów młokos nas okłamał. Dla większej pewności kazałem zabrać się z nami pewnej babinie biegłej w tych niewieścich sprawach; bo my, żołnierze, cóż, nie znamy się na tym tak dalece...

Starowina, przycupnięta na koniu Gurdulu, mamrotała:

- A jakże, a jakże, Wasza Cesarska Mość, wszystko się zrobi jak należy, choćby się okazały bliźnięta... - Była głucha i nie zrozumiała jeszcze, czego od niej chcą.

Do grotty wchodzi najpierw dwóch oficerów z pochodniami. Wracają bardzo zmieszani:

- Sire, dziewica leży spleciona uściskiem z młodym żołnierzem.

Prowadzą kochanków przed oblicze cesarza.

- Ty, Sofronio?! - wykrzykuje z boleścią Agilulf.

Karol Wielki kazał młodzieńcowi unieść głowę.

- Tionrismond!

Torrismond gwałtownie rzuca się ku Sofronii.

- Ty jesteś Sofronia! Ach, matko moja!

- Znacie tego młodzieńca, Sofronio? - pyta cesarz.

Kobieta skłania głowę, nagle pobladła.

- Jeżeli to jest Torrismond, sama go wychowałam - mówi ledwie dosłyszalnym głosem.

Torrismond skacze na konia.

- Dopuszczałem się ohydneho kazirodztwa! Nie ujrzycie mnie więcej! - Spina konia, kieruje go w prawo, pędzi, znika w lesie.

Teraz i Agilulf spina konia.

- Nie ujrzycie i mnie także! - mówi. - Nie mam już imienia! Żegnajcie! - I znika w lesie, na lewo.

Wszyscy milczą skonsternowani. Sofronia stoi z twarzą ukrytą w dłoniach.

Słychać tętent konia z prawej strony. To Torrismond wraca z lasu w wielkim pędzie. Krzyczy:

- Ale jakże to? Skoro dopiero co była dziewicą? Jakże mogłem nie pomyśleć o tym od razu? Była przecież dziewicą! Nie może być moją matką!

- Możecie nam to wyjaśnić? - mówi Karol Wielki.

- Prawdę mówiąc, Torrismond nie jest moim synem, lecz bratem, a raczej bratem przyrodnim - tłumaczy Sofronia - Królowa Szkocji, nasza matka, kiedy król, mój ojciec,

od roku przebywał na wojnie, wydała go na świat na skutek przypadkowego, jak się zdaje, zetknięcia z Zakonem Rycerzy Świętego Graala. Gdy król oznajmił swój rychły powrót, ta przewrotna istota (bo tak niestety zmuszona jestem osądzić naszą matkę), pod pozorem przechadzki po lesie z maleństwem, postarała się, żebyśmy się oboje zgubili. Ohydnie okłamała męża po jego powrocie. Powiedziała mu, że ja, trzynastoletnia dziewczeczka, uciekłam, żeby gdzieś w ukryciu wydać na świat nieprawie dziecko. A ja, słuchając nakazu fałszywie pojętej czci względem rodziców, nigdy nie zdradziłam przed nikim tej tajemnicy naszej matki. Żyłam wśród wrzosowisk razem z maleńkim przyrodnim braciszkiem i były to dla mnie szczęśliwe, swobodne lata w porównaniu z klasztorem, w którym siłą zamknęli mnie książę i księżna Kornwalii. Aż do dzisiejszego ranka, do trzydziestego trzeciego roku życia, nie znałam mężczyzny. I pierwsze z nim zetknięcie okazało się, niestety, kazirodztwem!

- Rozważmy wszystko spokojnie - mówi cesarz pojednawczo. - Pewnie, kazirodztwo to jest, ale między przyrodnim rodzeństwem nie jest ono z tych najcięższych...

- Nie ma żadnego kazirodztwa, Wasza Cesarska Mość! Raduj się, Sofronio! - woła Torrismond rozpromieniony. - Kiedy szukałem po świecie rozwiązania zagadki mego pochodzenia, odkryłem pewną tajemnicę, której nigdy nie zamierzałem wyjawić: ta, o której sądziłem, że jest moją matką, czyli ty Sofronio, nie jest zrodzona z królowej Szkocji, lecz jest córką naturalną króla, zrodzoną z żony pewnego dzierżawcy. Król uznał cię i kazał swojej żonie uznać cię również za córkę. A więc ta, która, jak się teraz dowiedziałem, była moją matką, dla ciebie była tylko macochą. Teraz rozumiem: zmuszona przez króla udawać wbrew woli twoją matkę, chciała się ciebie pozbyć w jaki bądź sposób; dopięła tego, przypisując tobie owoc własnej przelotnej zdrady, czyli mnie. Skoro więc ty jesteś córką króla Szkocji i wieśniaczki, a ja synem królowej i Świętego Zakonu, nie istnieją między nami żadne węzły krwi, jest tylko więź miłości, którą nawiązaliśmy dobrowolnie i którą, wierzę w to gorąco, zechcesz utrzymać na zawsze.

- Wydaje mi się, że wszystko zmierza ku jak najszcześniejszemu rozwiązaniu - mówi zacierając ręce Karol Wielki. - Nie zwlekajmy więc z odszukaniem naszego dzielnego rycerza Agilulfa i uspokójmy go, że jego imieniu i tytułom nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo.

- Ja pojedę! - odzywa się jeden z rycerzy występując naprzód. To Rambald.

Zapuszcza się niezwłocznie w las, nawołuje: - Rycerzuuu! Rycerzu Agilulfieeee! Rycerzu z Guildivernyyy! Agilulfie Emo Ber-trandinie z Guildiverny, Corbentraz i Sury, panie na Selimpii i Fezieeee! Wszystko w po-rządkuuu! Wraacajcie!

Tylko echo mu odpowiada.

Rambald jął przetrząsać las, jego ścieżki i bezdroża, urwiska i strumienie, nawołując, wyciągając słuch, szukając jakiegoś znaku, tropu. Oto wreszcie odciski końskich kopyt. Tu odciski są głębsze, jak gdyby koń się zatrzymał. Od tego miejsca za to - ledwo widoczne, jakby stąd zwierzę puszczone zostało wolno. I stąd też rozpoczyna się inny ślad - stóp obutych w żelazo. Rambald poszedł tym tropem.

Szedł wstrzymując oddech z przejęcia. Wyszedł na polanę. U stóp dębu ujrzał, leżące na ziemi, hełm z kitą tęczowych piór, biały pancerz, naramienniki, nakolenniki, manipuły, żelazne spiczaste buty - jednym słowem wszystkie części zbroi Agilulfa, jedne ułożone porządnie w kształt piramidy, inne porzucone byle jak. Zawieszony na rękojeści miecza widniał napis: „Pozostawiam tę zbroję rycerzowi Rambaldowi z Russilionu”. Pod napisem jakiś kawałek zakrętasa, jakby początek podpisu - niedokończony.

- Rycerzu! - woła głośno Rambald zwracając się do hełmu, do pancerza, do dębu, do nieba. - Rycerzu! Przywdziejcie swoją zbroję! Wasze miejsce w szeregach rycerstwa i szlachty Francji słusznie się wam należy! - Usiłuje złożyć razem zbroję, postawić ją na nogi, nie przestając wołać: - Zwyciężyliście, rycerzu, nikt wam już tego nie zaprzeczy! - Nie ma odpowiedzi. Zbroja nie chce stać, hełm spada i toczy się po ziemi. - Rycerzu, tyle czasu wytrwaliście samą tylko siłą woli, wszystko wam się udawało, tak jakbyście naprawdę istnieli; czemuż naraz chcecie się poddać?

Ale nie wie już, dokąd się zwracać: zbroja jest pusta, i to nie tak, jak była pusta przedtem; brak w niej teraz tego, co zwało się rycerzem Agilulfem, a teraz rozplynęło się, przepadło jak kropla w morzu.

Więc Rambald odpina rzemienie swego pancerza, rozbiera się, nakłada białą zbroję, hełm Agilulfa, ujmuje miecz i tarczę, wskakuje na konia. W takiej postaci staje przed cesarzem i jego świtą.

- Aa, Agilulfie, wróciliście, wszystko już dobrze, co?

Ale z wnętrza hełmu dobywa się inny głos:

- Nie jestem Agilulfem, Wasza Cesarska Mość! - Przyłbica unosi się, ukazuje twarz Rambalda. - Po rycerzu z Guildiverny została tylko ta biała zbroja i to pismo, w którym mnie ją przekazuje. Teraz niczego więcej nie pragnę, tylko jak najrychlej rzucić się w wir bitwy!

Słychać trąby alarmowe. Flota saraceńska dobiła do brzegów Bretanii, wojska niewiernych wyszły na ląd. Armia Franków ustawia się co prędzej w szyku bojowym.

- Twoje pragnienie spełnia się - mówi cesarz Karol - oto godzina walki wybiła.

Nie przynieś wstydu zbroi, którą nosisz. Agilulf, choć niełatwy miał charakter, na wojowaniu dobrze się znał!

Wojsko Franków dzielnie stawia czoło najeźdźcom, otwiera wyłom w liniach saraceńskich i młody Ramtoald pierwszy się weń wdziera. Walczy zażarcie, zadaje ciosy i broni się, razi wrogów i sam obrywa. Wielu wyznawców Mahometa gryzie już ziemię, Rambald, ilu ich ma w zasięgu włóczni, tyłu na nią nadziewa, jednego za drugim. Szeregi najeźdźców zwijają się, cofają, dopadają swoich zakotwiczonych u brzegu feluk. Pod naporem Franków jak niepyszni odpływają na pełne morze, oprócz tych, którzy zostali, aby swoją krwią napoić szarą ziemię bre-tońską.

Rambald wychodzi z walki zwycięski, zdrów i cały. Ale zbroja, biała, niepokalana zbroja Agilulfa, jest cała utytłana ziemią, spryskana wrażą krwią, pełna zadrapań, rys,

wgniecień, szczerb; czub utracił połowę piór, hełm pogięty, tarcza obłupana tam właśnie, gdzie widniało na niej tajemnicze godło. Teraz młodzieniec czuje, że ta zbroja jest jego zbroją, jego, Rambalda z Russilionu; uczucie skrępowania, z jakim ją po raz pierwszy nakładał, minęło bez śladu; teraz zbroja przystaje do niego jak rękawiczka.

Galopuje samotnie grzbietem wzgórza. Z głębi doliny słyszy donośne wołanie:

- Hej, Agilulfie!

Jakiś rycerz pędzi ku niemu cwałem. Na zbroi powiewa płaszcz błękitny jak kwiecie barwinku. To Bradamanta.

- Nareszcie odnalazłam cię, biały rycerzu! Młodzieniec już-już ma zawołać: „Bradamanto, nie jestem Agilulf, jestem Rambald!” Ale przychodzi mu na myśl, że lepiej powiedzieć jej to z bliska, i zawraca koniem w jej stronę.

- Ach, raz nareszcie gonisz za mną nieuchwytny rycerzu! - woła Bradamanta. - Nareszcie dane mi jest widzieć, jak i ty za mną pędzisz, ty, jedyny mężczyzna, który rozważa swoje czyny, nie robi nic bezmyślnie, jak ta sfora, oo wciąż się za mną ugania!

Wykrzykując to wszystko zawraca koniem i niby to ucieka, ale wciąż ogląda się wstecz, żeby widzieć, czy on podjął tę grę, czy ją goni.

Rambald niecierpliwi się. Chciałby jej powiedzieć: „Czyż nie widzisz, że i ja także nieporadnie się poruszam, że każdy mój gest zdradza to pragnienie, ten niedosyt i niepokój, który mną targa? I ja także chcę tylko jednego: być kimś, kto wie, czego chce!” I aby jej to powiedzieć, cwałuje w ślad za nią, a ona woła ze śmiechem: - Oto dzień, o którym zawsze marzyłam! Stracił ją z oczu. Przed nim porosła trawą dolinka. Jej koń stoi, uwiązany do pnia morwy. Wszystko przypomina ów dzień, kiedy pędził za nią po raz pierwszy i nawet przez myśl mu nie przeszło, że jest kobietą. Rambald zsiada z konia. Otóż i ona, leży na mchu, na zboczu. Zdjęła zbroję, ma na sobie tylko krótką tunikę barwy topazu. Leżąc otwiera do niego ramiona. Rambald zbliża się w swojej białej zbroi. Oto właściwa chwila, żeby powiedzieć: „Nie jestem Agi-lulfem, spójrz na zbroję, w której się zakochałaś, czy nie widzisz, jak się zmieniła pod ciężarem żywego ciała, które dźwiga, nawet tak młodego i zwinnego jak moje? Nie widzisz, że utraciła swoją nieludzką biel i stała się naprawdę ubiorem, w którym się walczy, narażonym na wszystkie ciosy, cierpliwym i użytecznym narzędziem?” To wszystko chciałby jej powiedzieć, ale milczy, zbliża się do niej niepewnymi krokami, a ręce mu drżą. Może najlepiej byłoby odsłonić twarz, zrzucić zbroję, ukazać się jej we własnej osobie - teraz choćby, kiedy leży z zamkniętymi oczyma i uśmiechem pełnym oczekiwania. Młodzieniec szarpie niecierpliwie zbroję, zrzuca ją: teraz Bradaman-ta pozna go, niech tylko otworzy oczy... Ale nie: zakryła oczy ręką, jakby lękała się, że spojrzeniem przeszkodzi zbliżyć się nieistniejącemu rycerzowi. I Rambald rzuca się na nią gwałtownie.

- Och, byłam tego pewna... - szepcze Bradamanta nie otwierając oczu. - Byłam zawsze pewna, że to jest możliwe! - Przyciska się do niego, oboje płoną jednakim zapałem, łączą się w uścisku. - O, tak, o tak, byłam tego pewna!

Teraz, kiedy już się stało, przychodzi chwila, kiedy trzeba spojrzeć sobie w oczy.

„Zobaczy mnie - myśli Rambald pełen dumy i nadziei - i zrozumie wszystko. Zrozumie, że tak właśnie jest słusznie i pięknie, i pokocha mnie na całe życie!”

Bradamanta otwiera oczy.

- Ach, to ty!

Zrywa się, odpycha Rambalda.

- Ty! ty! - krzyczy wściekle, płacząc ze złości: - Ty oszuście!

Stojąc chwyta oburącz miecz, wznosi go nad Rambaldem, uderza, ale płazem, w głowę, ogłusza go, tak że zdołał tylko wyjąkać, unosząc bezbronne ręce - może, aby się bronić, a może, by ją objąć: „Ale powiedz, czyż to nie było piękne?”... - i traci przytomność. Słyszy już tylko jak przez mgłę tętent konia - to ona odjeżdża.

Jeżeli nieszczęśliwy jest zakochany, spragniony pocałunków, których smaku nie zna, to o ileż bardziej nieszczęśliwy jest ten, który ów smak poznał i zaraz mu go odmówiono. Rambald wie nadal życie nieustraszonego żołnierza. Tam, gdzie najzażart-sza wre walka, jego włócznia otwiera sobie drogę. Czasem w zamięcie bitewnym mignie mu przed oczyma błękitny błysk, nadbiega wołając: „Bradamanto!” - ale zawsze na próżno.

Jedyny, komu chciałby zwierzyć swoje udreki, zniknął. Czasem, kiedy Rambald krąży pośród obozowych ognisk, jakaś zbroja ustawiona sztywno na podpórkach czy też kanciasty ruch okutej w żelazo ręki, wywołują w nim nagły dreszcz, bo przypominają mu Agilulfa. A jeśli rycerz nie rozwiązał się, jeżeli znalazł sobie inną zbroję? Rambald zbliża się i mówi:

- Nie chcę was urazić, kolego, ale czy nie zechcielibyście unieść na chwilę przyłbicy swego hełmu?

Za każdym razem ma nadzieję, że ujrzy przed sobą puste wnętrze hełmu; ale zawsze ukazuje się jakiś nos, a pod nim nastroszone wąsy.

- Wybaczcie - mruczy Rambald i odchodzi.

- Jest jeszcze ktoś inny, kto także nie przestaje szukać Agilulfa: to Gurdulu, który ilekroć zobaczy pusty garnuszek, rurę od pieca czy ceber, zatrzymuje się i błaga:

- Mości rycerzu, mój panie, dajcież mi jaki rozkaz!

Siedząc na murawie na skraju drogi wygłaszał właśnie długą przemowę w gardziel gąsiora od wina, kiedy jakiś głos go zagadnął:

- Kogo tam szukasz w środku, Gurdulu? Był to Torrismond, który poślubiwszy uroczyście Sofronię w obecności Karola Wielkiego jechał teraz z małżonką i wspaniałą świętą do Kurwaldii, gdyż z rozkazu cesarza miał objąć rządy w tym kraju.

- Mojego pana szukam - powiada Gurdulu.

- W tym gąsiorze?

- Mój pan to taki ktoś, kogo nie ma. Może równie dobrze nie być w gąsiorze, jak nie był w swojej zbroi.

- Ale twój pan rozwiązał się w powietrzu!

- To jakże, jestem teraz giemkiem powietrza?

- Będziesz moim, jeżeli chcesz pójść ze mną.

Udali się razem do Kurwaldii. Kraina zmieniła się nie do poznania. Na miejscu ubogich wiosek wyrosły miasta z domami z kamienia, powstały młyny i spławne kanały.

- Wróciłem, dobrzy ludzie, żeby zostać tu z wami.

- Wiwat! Doskonale! Żyćcie długo, wy i małżonka wasza!

- Zaczekajcie, dopieroż będziecie się radować, kiedy usłyszycie dobrą nowinę: cesarz Karol Wielki, przed którego dostojną wolą będziecie odtąd chylić czoła, obdarzył mnie tytułem hrabiego Kurwaldii!

- Hm... tak... Karol Wielki?... Doprawdy...

- Nie rozumiecie? Odtąd macie hrabiego! Będę was bronił przed krzywdami ze strony Bycerzy Graala!

- O, tych myśmy już dawno przepędzili z całej Kurwaldii! Widzicie, tyle czasu musieliśmy zawsze kogoś słuchać... Ale teraz przekonaliśmy się, że można dobrze żyć nie mając żadnych zgoła powinności ani wobec rycerzy, ani wobec hrabiów... Uprawiamy ziemię, zakładamy warsztaty rzemieślnicze, budujemy młyny, sami staramy się, żeby wszyscy posłuszni byli prawom, sami bronimy naszych granic, jednym słowem dajemy sobie radę i nie mamy na co się skarżyć.

Szlachetny z was młodzieniec i dobrze pamiętamy, coście dla nas uczynili... Bylibyśmy wam szczerze radzi, gdybyście z nami zostali... ale jak równy z równymi...

- Jak równy z równymi? Nie chcecie mnie za pana? Ależ to rozkaz cesarza, czyż tego nie rozumiecie? To przecież niemożliwe, żebyście się nie zgodzali!

- E, zawsze się tak mówi: niemożliwe... Także pozbyć się tych od Graala zdawało się niemożliwe... A wtedy mieliśmy przecież tylko widły i topory... Nie chcemy niczyjej krzywdy, młody panie, a waszej nade wszystko... Jesteście dzielnym człowiekiem i tyle wiecie rzeczy, o których my nie mamy pojęcia... Jeżeli zostanieie z nami na równych prawach i nie będziecie chcieli siłą nami rządzić, to kto wie, może staniecie się pierwszym pośród nas...

- Torrismondzie, zmęczyła mnie już tułaczka - mówi Sofronia odrzucając zasłonę z twarzy. - Ci ludzie wydają się rozsądni i uprzejmi, a miasto ładniejsze i lepiej zaopatrzone od wielu innych... czemuż nie mielibyśmy pójść na ugodę?

- A nasza świta?

- Zostaną wszyscy obywatelami Kurwaldii - odpowiedzieli Kurwaldczycy - i posiadać będą tyle, ile będą warci.

- Jakże to? Miałbym uważać za równego sobie mego pachółka Gurdulu, który nie wie nawet, czy istnieje, czy nie istnieje?

- Nauczy się i on... My też nie wiedzieliśmy, że jesteśmy na świecie... I tego, żeby być, także trzeba się uczyć...

12.

Książko, otóż i dobiegasz końca. Ostatnio pędziłam z tym pisaniem na łeb na szyję. Między jedną a drugą linijką przeskakiwałam całe narody, morza i lądy. Cóż to za niecierpliwość mnie ogarnęła, skąd ten pośpiech? Zdawałoby się, że na coś czekam. Ale czegoż mogą oczekiwać siostrzyczki zakonne, które po to tu się zamknęły, by stać z dala od zmiennych kolei świata? Cóż innego może mnie czekać, prócz zapisywania nowych kart i bicia klasztornego dzwonu, który reguluje nasze życie?

Słychać tętent konia na stromej drodze; zatrzymuje się przed furką klasztoru. Rycerz puka do furty. Z mojego okienka nie można go zobaczyć, ale słyszę jego głos:

- Hej, pobożne siostrzyczki, słuchajcie! Nie jestże to ten sam głos? Czyżbym się myliła? Ależ tak, to ten! To głos Rambalda, który tylekroć rozbrzmiewał na kartach tej książki! Rambald? Czegoż on tu szuka?

- Hej, siostrzyczki pobożne, powiedzcież mi łaskawie, czy nie schroniła się w tym klasztorze kobieta-rycerz, słynna Bradaman-ta?

Szukając Bradamanty po całym świecie, Rambald musiał na koniec dotrzeć i tutaj.

Słyszę, jak odpowiada mu siostra gwardianka:

- Nie, żołnierzu, nie ma tu żadnych rycerek, są tylko ubogie, pobożne niewiasty, które modlą się o odpuszczenie twoich grzechów!

Rzucam się do okna i wołam:

- Tak, Rambaldzie, tu jestem, czekaj na mnie, wiedziałam, że przybędziesz, schodzę natychmiast i odjeżdżam z tobą!

W pośpiechu zrywam welon, zakonną przepaskę, habit, wydobywam ze skrzyni moją tunikę barwy topazu, pancerz, nagolennice, hełm, ostrogi, błękitną oponczę.

- Czekaj na mnie, Rambaldzie, to ja, Bradamanta!

Tak, książko. Siostra Teodora, która spisała tę opowieść i wojownicza Bradamanta są jedną i tą samą osobą. To uganiem po polach bitew dzieląc czas między pojedynki i miłość, to znów zamykam się w klasztorze rozmyślając nad wszystkim, co mi się zdarzyło, i opisując te wypadki, by lepiej je zrozumieć. Kiedy przybyłam tutaj, rozpaczałam z miłości do Agilulfa, teraz płonę miłością do młodzieńczego i namiętnego Ram-balda.

Dlatego właśnie w pewnej chwili pióro moje zaczęło tak pędzić. Biegło na jego spotkanie. Wiedziało, że on wkrótce przybędzie. Karta książki tylko wtedy jest coś warta, jeśli możesz ją odwrócić i dojrzeć za nią życie, które na nią napiera gwałtem i miesza wszystkie karty. Pióro biegnie popychane tą samą radosną siłą, która każe ci uganiać po drogach świata. Rozdział, który zaczynasz nie wiedząc jeszcze, o czym będzie opowiadał, jest jak zakręt drogi za furką klasztorną: nie wiesz, czy ujrzysz za nim czyhającego smoka, czy gromadę zbójców, zaczarowaną wyspę, czy nową miłość.

Biegnę, Rambaldzie. Nie żegnam się nawet z matką przeoryszą. Znają mnie tutaj i

wiedzą, że po bitwach, uściskach i pomyłkach zawsze powracam w te mury. Ale tym razem będzie inaczej... Tym razem... Uciekając od powieści o tym, co było, od teraźniejszości, która w chwilach podniecenia chwytła mnie za rękę, wskakuję oto - o przyszłości! - na siodło twego rumaka. Jakie nowe sztandary ukazesz mi na blankach wieżyc w miastach jeszcze nie istniejących? Jakie zgliszcza spalonych zamków i stratowanych ogrodów, które kochałam? Jakie niespodziewane wieki złote gotujesz, o ty szalona nosicielko skarbów drogo opłaconych, ty, królestwo do zdobycia, ty, przyszłości...

Marzec-wrzesień 1959